Rozpowszechnianie wzbronione orzeczeniem c.k. Prokuratorji
L. 5 SS 65/900
1900. C. 68

Wydanie południowe.

Przedpłata
na „Głos Narodu“ wynosi:
W Krakowie: rocznie kor. 3·—, kwartalnie kor. 8·—, miesięcznie kor. 2·70, za odnoszenie 40 hal. miesięcznie.

Numer pojedynczy 14 hal.

GŁOS NARODU

DZIENNIK POLITYCZNY, ZAŁOŻONY W ROKU 1893 PRZEZ JÓZEFA ROGOSZA.

REDAKTOR KIERUJĄCY: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Wydanie południowe.

Przedpłata
na „Głos Narodu“ wynosi:
Na prowincji: rocznie kor. 40·—, kwartalnie kor. 10·—, miesięcznie kor. 3·40. **Za granicą:** kwartalnie kor. 13·—, rocznie kor. 52.—.

Numer pojedynczy na prowincję 16 hal.

Nr. 115. **Kraków, Poniedziałek dnia 21 Maja 1900.** **Rok VIII.**

ROKOWANIA CZESKO-NIEMIECKIE?

O sytuacji bieżącej chwili i o rokowaniach pomiędzy Niemcami a Czechami przynosi wiedeńska „N. fr. Presse“ następujące informacje:

Na piątkowem posiedzeniu komitetu wykonawczego prawicy, przywódcy Polaków i katolickiej partji niem. ludowej, podobnie jak już za hr. Clarego i później podczas obrad nad kontyngentem rekrutów, postawili Czechów wobec wyboru: albo zaniechania obstrukcji, albo ściągnięcia na siebie winy za rozpadnięcie się większości. Zażądano, aby Czesi oznajmili natychmiast, jak się decydują i zagrożono im koalicją wszystkich antyobstrukcyjnych stronnictw przeciwko Czechom.

Jakkolwiek przedstawiciele klubu czeskiego, pomni poprzednich doświadczeń, bynajmniej nie byli skłonni brać zbyt tragicznie tych gróźb, do których zresztą nieprzyłączyli się przedstawiciele czeskiej szlachty i klubu południowo-słowiańskiego, poprosili jednak o termin, a mianowicie aż do ponownego podjęcia posiedzeń Izby poselskiej, t. j. do 6 czerwca. W tym czasie powezmą Czesi ostateczne decyzje. Komitet wykonawczy posłów czeskich parlamentarnych i sejmowych ma w tym celu odbyć we wtorek popołudniu posiedzenie w Pradze.

Ta ponowna zwłoka została Czechom przyznana, zwłaszcza, gdy z ich strony dano do zrozumienia, że podczas pauzy w obradach Izby zamierzają rozpocząć nowe rokowania z Niemcami. Czy inicjatywa ta ma być podjęta, zadecydują wtorkowe narady w Pradze. Czesi rozważają ewentualność zwrócenia się do Niemców z projektem uregulowania kwestji językowej w urzędach krajowo-książęcych, w którymby zasadniczo zgodzono się na system trzech stref i na narodowe rozgraniczenie. To ustępstwo ma być kompensowane wprowadzeniem wewnętrznego czeskiego języka urzędowego.

O ile projekt ten znany jest posłom niemieckim, o tyle uważają go oni za pozbawiony wszelkich widoków powodzenia, bo dla Niemców niemożliwy do przyjęcia. Oświadczają Niemcy, że konferencja pojednawcza była właściwem miejscem, gdzie rokowania o wszystkich pomiędzy obiema narodowościami zachodzących kwestjach spornych do pozytywnego wyniku doprowadzić były powinny i że wina za zerwanie tej konferencji nie spada na Niemców.

Niemieckie stronnictwa twierdzą, że nie mogą rozrywać związku wszystkich tych, częścią pod kompetencję Rady państwa, częścią pod kompetencję Sejmu podpadających kwestyj i wyłączać z kompleksu spraw ugodowych kwestji wewnętrznego czeskiego języka urzędowego, wydającej się właśnie Czechom najważniejszą.

Jako właściwą tendencję tego projektu rozpoznają Niemcy ukryty zamiar Czechów, aby kosztem Niemców wybrnąć z bagna obstrukcji (!?), ażeby potem na nowo zjednoczonemi siłami prawicy módz wywierać dawną władzę większości. Rokowania, których sprawą zajmowała się także w sobotę wieczorem parlamentarna komisja klubu czeskiego, mają mieć charakter nieoficjalny i niezobowiązujący.

Po zamknięciu sobotniego posiedzenia Izby, przywódcy czesko-niemieckich deputowanych dr Funke i dr Pergelt zawiadomieni zostali przez dep. dra Kramarza i dep. dra Pacaka o istniejącym wśród czeskich posłów zamiarze zaproszenia Niemców do przeprowadzenia takich rokowań.

Już z samego tonu tego komunikatu wynika, że Niemcom bardzo jest na rękę stan dzisiejszy z tego względu, iż mają nadzieję, że dzięki p. Jaworskiemu uda im się doprowadzić do tego celu, do którego dążą od chwili ostatnich parlamentarnych wyborów z niewzruszoną konsekwencją, a mianowicie do rozbicia prawicy, do rozerwania polsko-czesko-katolickiego sojuszu.

Do tego, a nie innego celu dążyła przecież głównie obstrukcja niemiecka, zwrócona rzekomo przeciw rozporządzeniom językowym, ten cel zjednoczył w solidarnem działaniu, trwającem do tej pory różnorodne żywioły niemieckie, żydowskie i przewrotowe.

Wyraźnie proklamuje ten cel także niedzielny artykuł wstępny „Neue freie Presse“, wzywający rząd do rozwiązania Izby i do wyraźnego powiedzenia wyborcom, że rząd postanowił zerwać z dotychczasową tradycją uwzględniania życzeń ludów słowiańskich i że odtąd możliwa będzie tylko większość z niemiecką hegemonją.

Niegodne postępowanie przywódców Koła polskiego, jak widzimy, rozzuchwala Niemców i napełnia ich nadzieją tryumfu. Jakimżeby ciosem było dla hegemonji niemieckiej, gdyby w takiej chwili znaleźli się w Kole polskiem mężowie stanu nie na kramarską miarę, którzyby nie wahali się czynami stwierdzić, iż solidarność ludów słowiańskich w Austrji jest właśnie w interesie przyszłości tego państwa niezłomna!

Wówczas niewątpliwie nie śmiałaby „N. Fr. Presse“ wzywać rządu do prowokowania całej Słowiańszczyzny austrjackiej, stanowiącej liczebną większość ludności, ale lamentowałaby nad grozą, jakąby dla Niemców stała się nieodzowna naówczas zmiana konstytucji w duchu narodowego samorządu krajów z zagwarantowaniem słusznych praw narodowych mniejszości.

Wojna w Południowej Afryce.

Sprawę Boerów można dziś już uważać za zgubioną. Bardzo znaczna część wolnego państwa Oranje zajęta jest już przez angielskie wojska; Boerowie wycofali się już zupełnie z angielskiego Natalu, a nawet, jak doniosły już stanowczo sobotnie depesze, cofnęli się od oblężenia Mafekingu, który został przez nadeszłą odsiecz oswobodzony.

Boerowie nie umieli wyzyskać sześciotygodniowej nieczynności Robertsa w Bloemfontein; działania zaczepne, jakich się wtedy chwycili, były pozbawione jednolitego kierunku i zupełnie niestanowcze. Dnia 2 maja dywizja Pole-Carewa wyruszyła w pochód na północ; dnia 2 maja Anglicy zajęli Kroonsztadt, drugą stolicę Orańczyków, prawie bez oporu i bez rozlewu krwi. Pytanie, dlaczego Boerzy oddają ziemię swoją nieprzyjacielowi bez walki, jest dosyć zagadkowe. Czy powodem tego jest niemożność oporu wskutek demoralizacji Orańczyków, czy też strategiczna idea? Niektórzy utrzymują, że Boerowie chcą naśladować przykład Rosjan z 1812 r., aby na terytorjum Transwaalu zadać Anglikom klęskę.

Strategja to niebezpieczna, której pierwszym owocem jest nieporozumienie Transwaalczyków z Orańczykami, nie chcącymi opuszczać ojczyzny, oddanej na łup nieprzyjaciela i przekraczać rzeki Vaal. Orańczycy cofają się też do niedostępnej górskiej okolicy pomiędzy Ficksburg a Betlehem, ażeby utrzymać we własnem posiadaniu choćby małe terytorjum państwa Oranje, dla utrzymania fikcji, że Wolne Państwo jeszcze istnieje i własny rząd posiada.

Tymczasem, na dobrą sprawę, już za jakie dziesięć dni można oczekiwać wiadomości o wejściu Robertsa do Pretorji. Anglicy mają powody, aby jak najbardziej nagląco przyspieszać koniec wojny. To też lada chwila zacznie się skoncentrowany pochód pięciu czy sześciu angielskich kolumn przeciwko linji rzeki Vaal, po za którą Boerzy transwaalscy zajęli utwierdzone stanowiska. Na skrajnem prawem skrzydle stoi jenerał Buller na granicy Natalu pod Charlestown. Iść ma on prosto na Johannesburg, a zatem na lewy bok i tyły Boerów.

Pod Kroonsztadem obozuje główna armja marszałka Robertsa, która wzdłuż kolei ma iść prosto na Vereeniging. Pod Bloemhof znajduje się 10-ta dywizja jenerała Huntera, która ma iść na Klerksdorp. Pomiędzy Hunterem a Robertsem utrzymywać ma połączenia lord Methuan na drodze z Boshof do Hoopstadt. Nakoniec ochotnicy jenerała Brabanta i brygaga Harta stoją na granicy kraju Basuto pod Mequatting i Clocolan. Ten korpus będzie zajęty wyłącznie obserwowaniem Orańczyków, znajdujących się pomiędzy Ficksburg a Bethlehem.

Marszałek Roberts boi się, aby Boerowie nie wykonali odwrotu aż do samej dobrze obwarowanej Pretorji, której oblężenie potrwaćby mogło bardzo długo, zwłaszcza gdyby część armji boerskiej schroniła się w pograniczne góry dystryktu Lydenburskiego. Dlatego zamierza zatrzymać Boerów nad rzeką Vaal i zmusić ich do rozstrzygającej bitwy, a o ile można, do kapitulacji.

Okoliczność, że Boerowie niszczą mosty na rzece Rhenoster, że wysadzili w powietrze tunel pod Charlestown, że nagromadzili prowianty w okolicach Lydenburga, oraz w okolicach Ficksburg-Bethlehem, wskazuje, że Boerowie nie myślą jeszcze o kapitulowaniu. Boerowie z kobietami i dziećmi, z wozami, zaprzężonymi w woły, z trzodami i zapasami emigrują tłumnie zewsząd, Orańczycy w okolice Bethlehem, Transwaalczycy w okolice Lydenburga.

Zamiary Boerów przypominają piętnastoletnią wojnę, prowadzoną przez protestanckich Camisardów pod dowództwem Jana Cavalier przeciwko wojskom Ludwika XIV pod dowództwem marszałków: Montrevala i Villarsa w górach Cevenskich. Góry, rozpadliny, zakątki Gór Smoczych mają służyć Boerom za wały i twierdze do rozpoczęcia rozpaczliwej wojny, która może się tylko skończyć ich wytępieniem i zagładą ich ziemi. Czyż Europa i świat nie zaprotestują przeciw zakrwawieniu i shańbieniu początków nowego stulecia ta potworną, pełną ohydnej grozy tragedją?

W ODWROCIE.

Opowiadanie z wojny boerskiej.

Na szczycie pagórka, Wandermeer zatrzymał konia. Odwrócił się, aby zobaczyć czy jego „komenda“ wysuwała się dobrze z niebezpiecznego wąwozu. Upał słoneczny, gwałtowny i ciężki, prażył wąską gardziel, w której mięszały się jaszczyki i armaty, wleczone wytężonymi muskułami cierpiących zwierząt. Piechurzy wspinali się z trudnością, widni zdaleka ciemnym błyskiem strzelb; kawalerzyści czepiali się prawie pionowo grzyw swoich koni, pnących się ku górze w podskokach lędźwi. Niekiedy fioletowy cień, rzucany przez skały, był tak ponury i gęsty, że wojsko nikło w nim jakby w otchłani; natychmiast jednak ukazywało się nanowo w pełnem, jaskrawem świetle, coraz bliżej, idąc do szturmu, szturmu wybawienia i ucieczki.

Wsparty garścią na kuli u siodła, Wandermeer obejmował oczami połnduiowy widnokrąg. Odczuwał on, jak się rozszerza i posuwa po za tą linją nieboskłonu olbrzymia fala angielskiej inwazji, owe 200.000 żołnierzy Królowej, idących naprzeciw trzydziestu tysiącom bojowników obu Rzeczypospolitych. Ostry wiatr, który nagle uderzył go w policzki, wydał mu się

także angielskim; cała ta gwałcona ziemia była cię żarna nieprzyjaciółmi.

Uczynił gest ręką, aby przyspieszyć pochód ku górze; działa Maxima toczyły się po płaszczyźnie pokrytej gęstemi ziołami, jaszczyki z amunicją toczyły się w ślad za niemi, drżąc śmiercią, zawartą w ich wnętrznościach. Dalej, powolniej posuwały się powózki z prowiantem, opodal gromady ponurych wołów boerskich o rogach ogromnych, ostrych i gładkich. Cały ten orszak deptał darń nienaruszoną, dziewiczo zieloną, przepyszną paszę dla zwierząt. Obudzona zwierzęcość bydląt wyciągała też im szyję i języki ku rozkoszom traw, ale ostroga lub bicz ludzi karciły instynkt. Zwierzęta pospieszały po niezmiernej równinie, w ostatnich jasnych blaskach dnia, poprzedzających nagły zmierzch tropicznych klimatów...

* * *

W zakątku widnokręgu stała ferma, pomiędzy dwoma wielkiemi garbami płaszczyzny, ukryta pod bukietem drzew, zielonych dębów i fig adamowych. Z woli tych, którzy ją niegdyś budowali po przybyciu z Europy, zachowała wygląd i pozór normandzki czy fryzyjski, jaki mieć mogła w okolicach wody i świeżości. Nazwa, jaką jej nadano, nie zawodziła: „Lustrust“ spoczynek radości. Była cicha i zgubiona, daleko od świata; musiano tam żyć życiem spóźnionem, w prostym, rodzinnym spokoju. Wśród nocy rysowały się linje jej dachów, naiwnie skonstruowanych, jakby dla północnego klimatu; w chwili gdy się wchodziło do izby, szukało się mimowoli oczami pieca z niebieskiego fajansu i zadymionego muru.

Wandermeer, na progu z fajką w wargach, słuchał jak się toczyły i krzyczały wśród nocy koła i osie wozów, jak dzwoniły skacząc na lawetach działa Boerów posuwające się ku północy. Podniósł kapelusz o szerokich skrzydłach i odetchnął szeroko, oswobodzony nakoniec od trwogi ujrzenia na tyłach swego odwrotu kawalerzystów angielskich.

Poza nim wielka izba fermy rozświetlona była łagodnie lampą; stół był nakryty; przez drzwi wydzierał się złocony blask rozkosznego gniazda rodzinnego o późnej wieczornej godzinie. Wódz zwrócił się do swego towarzysza, który na pół zaspany, leżał na kamiennej ławce ganku fermy.

Z pobliża dochodził szelest spokojny koni przywiązanych opodal, żujących w zamyśleniu zwoje smakowitych ziół.

— Hej, Petermann, czy śpisz?

Zaspany człowiek zerwał się i wyprostował, bełkocąc:

— Na rozkazy! Czy trzeba czego?

— Już są w drodze, możemy odjechać.

Petermann był synem wolnego państwa Oranji; każdy krok ku północy, po tamtej stronie rzeki Vaal, popychał go coraz dalej na wygnanie. Zapytał więc:

— A zatem jesteśmy w pełnym odwrocie? Gdzież się zatrzymamy?

— Bóg to jeden wie!

— Czy nie byłoby lepiej umrzeć?

— Trzeba umrzeć, gdy jest konieczność, ale trzeba żyć na to, aby ojczyzna nie umarła.

— Ale jeśli oni zdobędą Pretorję?

— Pójdziemy dalej na północ.

— Aż dokąd!?

— Aż do pustyń, które Bóg nam da...

— Porzucimy zatem wszystko!?

— Nie porzucimy siebie samych!

Wandermeer nagle wyciągnął rękę, nakazując milczenie. Czarne skrzydła wiatru wachlowały w osłabionych podmuchach. Wandermeer rozpoznał wiatr od morza, wiatr świeższy, idący gdzieś od lodowców południowego bieguna.

— Słuchaj!

Nieokreślony, rosnący gwar zstępował z głębin niziny tylko co przez Boerów przebytej; gwar ponury, niewyraźny, posępny, gwar postępującej zbrodni...

— Nadchodzą!

Wódz powrócił do fermy i pochwycił lampę łagodnie płonącą.

— Rozświecimy im widnokrąg — rzekł.

Zdjął umbrę i szkło i rzucił knot płonący. Strumienie oleju rozlały się po podłodze.

— Co czynicie! — zawołał przerażony Petermann. Ale Wandermeer rzucał już garście suchego chrustu na knot płonący; rozległ się trzask, zadrżały kłęby dymu, wreszcie wybuchnął jasny płomień.

— Wandermeer, co wy zamierzacie!? Podpalacie tę fermę; czyż macie do tego prawo? Przecież pokój może być zawarty; ci ludzie, co tu mieszkają, nie będą mieli dachu nad głową.. Rzucacie na ofiarę całe ich życie.

— Nie trzeba dopuścić, aby Anglicy znajdowali gotowe do wypoczynku etapy.

— Wandermeer, błagam was. Ogień ogarnia już mury; za chwilę będzie już zbyt późno; pozwólcie mi gasić, pomyślcie o tych ludziach.

Rzucił się naprzód; Wandermeer zatrzymał go mocną dłonią.

— Trzeba, powtarzam ci, aby mieli pustynię i ruinę przed sobą.

Kłęb iskier i dymu uleciał w górę. Obaj Boerzy cofnęli się. Gdy wyszli, Wandermeer rzekł:

— Stało się! Na koń! Połączmy się z naszymi!

Ale Petermann stał nieruchomy, myśląc o swojej własnej fermie, już dalekiej, już obcej, już w rękach nieprzyjaciela.

— Gdy tu przyjdą, znajdą już tylko popioły...— mruczał Wandermeer.

Zwinnym skokiem płomień objął drewniane ściany i wyciągał przez okna czerwone wesołe języki. A Petermann powtórzył:

— Nie, nie sądzę, abyście wy mieli do tego prawo.

Ale poszedł za swoim wodzem; okiełznał konia w milczeniu. Obaj wskoczyli na siodła i oddalili się.

Zanim jednak zapuścili się w głąb, w zapadlinę „veldtu“, przez którą komenda boerska wymykała się z osaczenia przez Anglików, wódz zatrzymał się. Oczy jego zwróciły się ku dworkowi w płomieniach.

— Petermann, tak, ja miałem prawo to uczynić.

— Jakie? Dlaczego?

— Ponieważ ta ferma należała do mnie i ponieważ przekazali mi ją moi rodzice...

* * *

Zdala na rozległem płaskowzgórzu zaświeciły inne ognie; wszystkie fermy paliły się, jakby pochodnie, wsadzone w ziemię, aby postawić przed najezdcą zaporę pożarów.

François de Nion.

†

Michał Wołowski.

Dyrektor teatru polskiego w Łodzi, Michał Wołowski, który przed kilkoma dniami złożył dyrekcję tego teatru w ręce artystów i zamierzył poświęcić się na nowo literaturze i dziennikarstwu, zmarł nagle w piątek o godz. 5 po południu w Warszawie, w chwili, kiedy wracał do skromnego pokoiku przy ul. Świętokrzyskiej, który właśnie wynajął, pozostawiwszy żonę i dzieci w Łodzi. Wołowski padł ofiarą anewryzmu serca, wstępując na schody.

Michał Wołowski był znaną niegdyś w Krakowie postacią, bo tu zaczął pracować piórem, naprzód w pismach humorystycznych. Naraził się wówczas Mikołajowi Zyblikiewiczowi, który z właściwą sobie energją i zapalczywością, wydalił Wołowskiego z Krakowa jako „obcokrajowca“.

Ś. p. Michał Wołowski urodził się w Mławie w dniu 19 grudnia 1851 roku. Gimnazjum kończył w Łomży, a następnie studjował przez dwa lata w Szkole Głównej i w uniwersytecie warszawskim. Przeniósłszy się do Krakowa, uczęszczał tam na wydział prawny, poczem przez kilka semestrów słuchał wykładów na uniwersytecie monachijskim.

Pracę dziennikarsko-literacką rozpoczął w roku 1870 korespondencjami o życiu i literaturze niemieckiej w „Gazecie warszawskiej“, „Wieku“, „Gazecie polskiej“, „Nowinach“, „Kłosach“, „Tygodniku ilustrowanym“, a płodno jego pióro przez lat kilkanaście zasilało warszawskie piśmiennictwo perjodyczne szkicami, studjami, nowelami, powieściami, których nie stanęło wprawdzie na wyżynach twórczości

LEW HR. TOŁSTOJ.

WSKRZESZENIE.

ROMANS

(122) (Ciąg dalszy).

— Bernow — zawołał oficer — zaprowadź pana do Pokatowa, powiedz, niech wpuszczą do izby politycznych. Może się tam zostać do sprawdzenia.

VIII.

W towarzystwie ordynansa wyszedł Niechludow znów na dziedziniec, skąpo oświetlony czerwono palącemi się latarniami.

— Dokąd? — zapytał towarzysza Niechludowa, konwojowy, którego spotkali.

— Do osobnej, numer 5-ty.

— Nie przejdziesz tędy, zamknięto. Trzeba iść przez ganek.

— A dlaczegóż zamknięte?

— Zamknął starszy, sam poszedł na wieś.

— No, to chodźmy tędy. — Żołnierz poprowadził Niechludowa na drugi ganek i przeszedł po deskach do drugiego wejścia. Na dziedzińcu już słychać było gwar głosów i ten hałas wewnątrz, podobny do ruchu pszczół w ulu. Gdy się Niechludow zbliżył i skoro otworzono drzwi, hałas się wzmógł i krzyczące, wymyślające, śmiejące się głosy zlały się w jeden dźwięk. Słychać było przelewający się brzęk łańcuchów i Niechludowa zaleciał ów znajomy, ciężki etapowy zaduch.

Oba te wrażenia: szmer głosów, brzęk łańcuchów z jednej strony, z drugiej ten straszny zaduch, w duszy Niechludowa zlewały się zawsze w jedno uczucie moralnych mdłości, przechodzących w mdłości fizyczne. Oba wrażenia zlewały się, potęgując się wzajemnie.

W sieni etapu stał olbrzymi, cuchnący kubeł, tak zwana „Parasza“. Sień prowadziła na korytarz, z którego były wejścia do cel więziennych. Pierwsza izba była dla familijnych, druga dla nieżonatych. W końcu korytarza znajdowały się dwie małe izby, przeznaczone dla politycznych.

W etapie, zbudowanym dla 150 osób, a mieszczącym 450, było tak ciasno, że aresztanci, nie mając miejsca, przepełniali korytarze. Jedni siedzieli lub leżeli na podłodze, drudzy chodzili tam i napowrót z pustymi lub wrzątkiem napełnionymi imbrykami. Był tam i Taras. Zobaczył Niechludowa, dopędził go i pozdrowił uprzejmie. Poczciwa jego twarz była zeszpecona sińcami na nosie i pod oczami.

— Co ci się przytrafiło? — zapytał go Niechludow.

— Taka wydarzyła się sprawa — odrzekł Taras, uśmiechając się.

— Wciąż się biją — tłomaczył pogardliwie konwojowy.

— O babę — dorzucił idący za nimi aresztant. — Ze ślepym Teodorem pobili się.

— A jak tam Teodozja? — zapytał Niechludow.

— Zdrowa, wrzątek jej oto niosę — powiedział Taras i poszedł do izby familijnej.

Niechludow zajrzał do drzwi.

W izbie pełno było mężczyzn i kobiet; leżeli na narach i pod narami. W powietrzu, nasyconem parą schnącego, mokrego ubrania, rozlegał się nieustający krzyk kobiecych głosów.

Następne drzwi prowadziły do izby nieżonatych. Było tam jeszcze więcej ludzi. Hałaśliwy tłum aresztantów w mokrych ubraniach tłoczył się we drzwiach i u wejścia na korytarz. Dzielili się czemś lub obradowali. Konwojowy tłomaczył Niechludowi, że to starosta wypłacał majdańszczykowi pieniądze pobrane naprzód, lub przegrane w loteryjne bilety, porobione z kart. Na widok podoficera i obcego przybysza, ci, co bliżej stali, umikli i obrzucili przechodzących podejrzliwem spojrzeniem. Wśród dzielących zauważył Niechludow znajomego katorżnika Fedorowa i wstrętnego, ospowatego brodiagę bez nosa, o którym wiedziano, że podczas ucieczki do tajgi zabił towarzysza i żywił się jego mięsem. Brodiaga stał na korytarzu, w mokrym chałacie, narzuconym na ramiona, i wyzywająco patrzył na Niechludowa, nie usuwając mu się z drogi. Niechludow go ominął.

Widok taki nie był nowym dla niego. Nieraz już w ciągu tych trzech miesięcy widział tych samych 400 przestępców, widział ich w różnych położeniach: i wieczorami w upalnej porze roku, i wśród obłoków kurzu, jakie tworzyły się za nogami łańcuchy kajdan. Widywał ich w drodze, i na odwachach, i w ciepłe dnie na etapowych dziedzińcach, gdzie odbywały się nieraz wstrętne sceny. A jednak za każdym razem, gdy do nich wchodził i czuł, jak teraz, ich wzrok na siebie zwrócony, dręczyło go ciężkie poczucie wstydu i świadomość swojej względem nich winy. A cierpiał tembardziej, że do tego wstydu i poczucia winy przyłączały się nieprzezwyciężona obawa i odraza.

Wiedział, że w położeniu, w którem postawiono tych ludzi, oni inuymi być nie mogą, a pomimo tego nie był w stanie pokonać wstrętu, jakim go przejmowali.

— Ot takim pańkurczom to dobrze na świecie — krzyknął ktoś w chwili, gdy Niechludow podchodził do drzwi gdzie była izba dla „politycznych“. Słowa te wyrzucał z gardła jakiś pijacki ochrypły głos, a towarzyszyło im grubiańskie przekleństwo.

Rozległ się śmiech, złośliwy, szyderczy — i jeszcze potok cały wykrzykników, plugawych.

IX.

Podoficer, towarzyszący Niechludowowi, powiedział mu, gdy minęli izbę nieżonatych, że go tu zostawi, a wróci przed sprawdzeniem, i oddalił się. Ledwo wyszedł, zbliżył się do Niechludowa jakiś z aresztantów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

samodzielnej, ale produkowało utwory zręczne w fakturze i czyniące zadość potrzebom czytelnictwa bieżącego. Do takich należą powieści: „Dziwni", „W drodze za chlebem", „Cyganiątko", „Był żydem", „Dzieci Warszawy", „Ostatni piorun", nowele „Jasne i ciemne obrazki" i wiele, wiele innych.

Przedewszystkiem jednak Wołowski umiłował scenę i jej najwięcej czasu i pracy poświęcał, zwłaszcza, że tu powodzenie uśmiechało mu się częściej. W roku 1873 napisał pierwszy swój utwór sceniczny w 5 aktach wierszem białym p. t. „Djabeł wenecki". Sztuka ta była graną kilka razy we Lwowie. W budowie był to utwór słaby, ale złożył w nim Wołowski dowody niezwykłego zacięcia dramatycznego i zadatki rzeczywistego talentu pisarskiego. Oprócz kilku jednoaktówek, napisał wspólnie z Kotarbińskim komedję „Nie wypada", samodzielnie zaś, między innemi, stworzył komedje „Nasze anioły" i „Towarzysza pancernego" (nagrodzoną na konkursie lwowskim). Obydwie te sztuki miały rzetelne powodzenie.

Do ostatnich chwil życia cechowała go pewna rzutkość inicjatywy, pewne pożądanie czynu. Inicjator jednak nie miał w swej organizacji duchowej talentu wykonawcy, więc też życie Wołowskiego nazwać można szeregiem prób, w dobrym poczętych duchu, szczęśliwie nieraz pomyślanych, ale rzadko przeprowadzanych pomyślnie w zetknięciu z praktycznemi wymaganiami życia. Poprostu brakło mu tchu na dłuższą metę.

Do takich niefortunnie przeprowadzonych inicjatyw należało założenie w roku 1886 ym czasopisma „Głos", w którym Wołowski, wespół z komitetem redakcyjnym, z 9 osób złożonym, usiłował wyciągnąć ostatnią konsekwencję z haseł postępowo-demokratycznych, przez postawienie na czele programu działalności społecznej „uznania ludu za najgłówniejszy składnik społeczności narodowej i podporządkowania interesów innych warstw interesom tego ludu". Po paru miesiącach Wołowski opuścił stanowisko naczelnego redaktora, przekazując „Głos" komitetowi redakcyjnemu, który jednak nie zdołał się uporać z trudnościami materjalnemi wydawania pisma większych rozmiarów.

W roku 1895 wstąpił ś. p. M. Wołowski w szeregi kierowników teatrów prowincjonalnych, a w dziedzinie tej zaznaczył działalność swą ruchliwością repertuarową. Objąwszy kierownictwo teatru łódzkiego, starał się o wytworzenie wyborowej trupy prowincjonalnej. Przez lat parę repertuar oryginalny w Łodzi biegł bezpośrednio za warszawskim, a nawet wyprzedzał go kilkakrotnie. Brak umiejętności liczenia się z warunkami praktycznemi przedsiębiorstwa sprawiał, iż impresarjo coraz rzadziej wiązał koniec z końcem. Wyjazdy do Warszawy i Petersburga, lubo schlebiały ambicji trupy, nie zdołały wszakże zapewnić teatrowi łódzkiemu powodzenia trwalszego.

Znękany borykaniem się z ciężkiemi wymaganiami szarego życia, ś. p. Wołowski ustąpił z placówki, na której starał się służyć przeważnie repertuarowi oryginalnemu.

Z KRAJU.

GRYBÓW 20 maja.

Horoskop wiosenny. — Pójdźcie o wszyscy!... — Duszenie żydów. — Jednak nam brużdżą. — Pod znakiem rogów i bezrogów. — Walka dwóch garncarzy. — Pierwsza walna potyczka. Deszcze anonimów. — Konsternacja w przybytku Temidy.

Miesiąc słowików i róż, jaśminów i bzów — raju suchotników i zakochanych — tego roku wcale się nie spisał. Nie o słowiki nam jednak idzie, ani o bzy lub jaśminy, ale o obfitość chleba naszego powszedniego, który na tle tegorocznego maju coraz bardziej w krainę nieziszczalnych marzeń zsuwać się zaczyna. Gdybyście mieli sposobność popatrzenia na nasze pola, obsiane oziminami lub też świeżo z wiosną — przeczucie złowieszcze ogarnęłoby sercem waszem. Ta tak opiewana ruń majowa, tego roku w powiecie naszym grybowskim jest tak z wyglądu anemiczna i mało rokująca, słowem taka nijaka, że nasi rolnicy więksi, czy mniejsi, tylko skrobią się w głowę i z drżeniem zlecają się Bogu. Tak jednak ma być obecnie w całym kraju. Strach pomyśleć co będzie...

Nasz Grybów jest (względnie będzie) o tyle biedniejszy, że w rzeczy samej jest miasteczkiem ekonomicznie mocno upośledzonem, więc też wynik zbiorów jesiennych jest dla niego kwestją mocno hamletowską. Ponieważ jednak równocześnie ma wiele pretensyj do miejscowości zdrowotnej i za „wielegiaturę" gwałtem (zresztą z dużą słusznością) chce uchodzić, przeto liczy w pewnej części na dochody z przybyłych na pobyt tu przez sezon letni gości. Stąd wiele domów urządza się, porządkuje i czeka.

Można z wielu dodatnich stron naszej podgórskiej miejscowości nic sobie nie robić, ale trzeba być z całem uznaniem dla jej zdrowotnych względów, które są — nie chwaląc się — non plus ultra. Z hygieny ogólnej Grybowa możemy być dumni. Trzeba to widzieć, żeby podziwiać. Przedewszystkiem tedy miasteczko jest cudownie nad Białą położone, niezmiernie czysto i schludnie zbudowane i prawie że nie zanieczyszczone przez żydów, których tu się trzyma, jak się da tylko, na smyczy i w karbach. Pierwsze w tem skrzypce trzyma nasz burmistrz dr Jakubowski, uważany i chcący się całemi siłami uważać za antysemitę. Żydzi to czują i nie odważają się za mocno brykać.

Nie byliby jednak żydami, gdyby nam się tu i owdzie nie dali we znaki. I choć się ich dusi, jak może, to jednak trzeba rzecz nie jedną znieść od nich i przełknąć. Pominąwszy już adwokata tutejszego, u którego w kancelarji zatrudnionych jest dwóch żydów, pominąwszy starostwo, urząd podatkowy i t. d., gdzie wszędzie żyd, wspomagający swych współwyznawców wszelkiemi siłami, znaleść się musi, to najwięcej daje się nam odczuwać obecność żyda w gmachu sądowym. Jest on tam ni mniej ni więcej tylko... „prowadzącym księgi gruntowe". Kto wie, co urząd ten znaczy na prowincji, ten zrozumie nasze oburzenie i tysiączne nasze z powodu tego przykrości. Głos powszechny (może nawet i nie bez słuszności) mówi, że na tej drodze „amtsgeheimniss" mocno cierpi i wiele z powodu tego Grybowianom gwoździ za paznokcie wbijanych bywa.

Jeżeli już mowa, jak to nam wyznawcy Mojżesza brużdżą i dokuczają, to godzi się przedewszystkiem opowiedzieć awanturę, będącą wypadkiem sensacyjnym dnia w Grybowie, o której wciąż wszyscy mówią i opowiadają. Oto pożarło się tu na śmierć i życie dwóch weterynarzy. Rzecz bardzo pospolita, że garncarz z obowiązku nie znosi garncarza. W tym wypadku walka cała, prowadzona pod znakiem rogów (woły i krowy) i bez rogów, jest o tyle ciekawą i aktualną, że weterynarz, żyd, Herman Hirsch, (c. k. weterynarz powiatowy), uwziął się wygryść swego współkolegę, weterynarza miejskiego, Wildolda Schmidta. Powody walki i niesnask, stare, jak świat. Schmidt, którego przed trzema laty sprowadziło sobie miasto, nie pozwolił na różne sztuczki, których tam dotąd dopuszczał się bezkarnie weterynarz, żyd. Walka, prowadzona niemal na noże, skończyła się w końcu przed trybunałem sądowym. Obie strony skarżyły już się wzajemnie. Najpierw Schmidt skarżył Hirscha, żyda, o szereg „nieprawidłowości" w urzędowaniu, a potem Hirsch, „obrażnięty" w swej nieskalanej godności, zaskarżył z powodu tego „kolegę" o obrazę czci. Motywy zresztą małomiasteczkowe, tu jednak o tyle smutniejsze, iż walka odbywa się na tle niemal wyznaniowem i, jak to jest mocno widocznem, stronę żyda weterynarza, „zastępcy prokuratora" imieniem starostwa w wielu sprawach (sic!...) trzyma bardzo energicznie tutejszy starosta Tustanowski.

Właśnie ubiegłej soboty stoczyła się w tutejszym sądzie pierwsza walna potyczka tej kampanji wołowo-wyznaniowej przed sędzią Szymczykiewiczem. Dla scharakteryzowania dosadnego całej tej afery dość powiedzieć, że przedmiotem rozprawy były facta tego rodzaju, iż Hirsz żyd miał w paru wypadkach pozwolić na zarżnięcie chorej sztuki bydła, że wziął między innemi kubana w wysokości 5 złr. od jednego masarza, że puszczał bydło z okolic zakażonych

---

ALMA MATER

Powieść na tle dziejów Słowiańszczyzny na rubieży XIV i XV stulecia

115·

przez

Bogdana Jaxę Ronikiera.

(Ciąg dalszy)

Zdzit był wolny. Pędził naprzód na spotkanie nowych, jaskrawszych wrażeń życia.

Ona stała długo na drodze i ocierała rękawem łzy. A gdy jeździec skręcił z koniem na lewo i znikł jej oczu, z głową spuszczoną, smutna i zapłakana wróciła dworu, do dziecka.

Mały Beatus nie spał, kwilił...

— Co teraz jej dziecko porabia? Jest na wychowaniu u jej starej matki, bratowa go karmi, albo maleństwo śpi...

Beatus zaczął dawnym zwyczajem krzyczeć głośniej.

— Jeszcze mi mojego obudzi ten zatraceniec — mruknęła druga mamka, budząc się ponuro.
Spij mały, śpij...

Tyle twego, pókiś mały,
Będą o cię niańki dbały,
Śpiew ich, niechaj cię usypia...
Czego patrzysz? Zamknij ślepia!
Życie twoje, będzie wiosną,
Póki latka nie narosną!
Znow płaczesz, mój sokolny?...
Śpij... szczęśliwy jesteś... wolny!...

Nuciła.

Mikołaj i Urban długą mieli drogę przed sobą. Odbyć konno podróż do Rzymu i z powrotem wymagało dużo czasu i sił, więc umawiali się oględnie co do szczegółów, którędy jechać będą, kogo bezpieczniej ominą, a dokąd udadzą się o pomoc i opiekę.

A więc przedewszystkiem rozsądek nakazywał omijać księstwo Rakuskie, gdzie niedoszły mąż królowej Jadwigi. Wilhelm, po śmierci ojca, pod berłem miękkiego stryja Albrechta rej wodził w Wiedniu i wygrażał Polsce sromotnie.

Najbardziej Urban nie chciał spotkać się z księciem, bo czuł, że wyjątkową urazę musi karmić to młode panie dla niego i że bądź co bądż on względem Wilhelma zawinił.

Po długich naradach stanęło na tem, że przez Pilicę. Głogów, Chrudino udadzą się do Pragi, a stamtąd dopiero skręcą nagle na południe i przez Passawę. Salcburg dostaną się do Winedżii. skąd już na włoskiej nawie popłyną dalej.

Ruszyli dosyć licznie bo w kilkadziesiąt koni, a w zanadrzu miał kanonik Trąba zwój listów polecających, które miały mu wszędzie otwierać wrota i zapewniać szczerą gościnę. Posuwali się raźnie, wszyscy ogromnie zadowoleni, że będą mieli sposobność taki szmat świata obejrzeć, jeden Urban jechał zamyślony i obojętny, smutny zawsze i na zewnętrzne wrażenia nieczuły.

Próżno Mikołaj starał się wciągać go w rozmowę, zwracać jego uwagę na szczegóły drogi, śmieszyć go uwagami różnego rodzaju, próżno Zdzit wspominał dawne czasy i nucił ulubione dawniej pieśni Rostockiego grafa, Urban pozostawał ten sam roztargniony, poważny i zamknięty w sobie. Służyła mu podróż, świeże powietrze i ruch, twarz traciła powoli ślady poprzedniego wyniszczenia i nabierała chwilami obiecujących kolorów, ale duch w nim trwał ten sam niepocieszony. Nawet zdawało się czasem, że go powrót do życia czynnego drażni i boli, bywały dnie, kiedy marszczył się więcej niż zwykle i albo wyprzedzał oddział, albo jechał znacznie w tyle, żeby nie należeć do ogólnego gwaru i rozbawienia.

Gdy raz Zdzit o zachodzie słońca podczas ogólnej ciszy zanucił dawną zwrotkę rodzinną:

Libo dobra zła li dola,
Oj... że bo hej! Oj... że hi!
Lube mi oj...czyste pola,
Oj... ty dziewko lubaś mi!

Urban przerwał mu nagle.

— Zaniechaj... oskoma bierze słuchać! — rzekł mu sucho i dnia tego był więcej przybitym niż zwykle.

Jesień była pogodna i cicha, co nie mało sprzyjało podróży, jechali więc chyżo i śmiało, popasając wszędzie po drodze wesoło i hucznie.

Póki byli w granicach Polski, musieli wyrywać się przebojem z gościnnych progów, gdzie ich nie tylko, że podejmowano serdecznie, jako duchownych i posłów królewskich, ale miejscami niewolono, zatrzymując przemocą.

Urban krzyż pański znosił i złościł się na te przymusowe przyjęcia, tchnące samowolą, ale Mikołaj, dbający o miłość i poparcie szlachty, ustępował chętnie prośbom każdego i przy kielichu dzielnie dotrzymywał placu.

To bardzo przewlekało podróż.

Dopiero gdy się dostali do ziemi śląskiej, jęli podążać szybciej. ale tu za to liczne odnogi Karpat grodziły im drogę, utrudniając jazdę na zachód.

— „Bud'te mi srdčne vitan!" — pokłonił się mnichowi kmieć jakiś, który szedł w polu pracowicie za sochą, kiedy poselska drużyna zaczęła z gór zjeżdżać ku dolinie.

Miłe dla ucha pozdrowienie!

Ucieszyli się wszyscy... byli na czeskiej ziemi!

Na tem samem miejscu stały Hradczany, bijące w niebo urodą całości, otulone poezją słowiańskiego pierwiastka, ta sama wysypała się na spotkanie podróżnych złota Praha, wierna towarzyszka królewskiego zamku, związana z nim wieczną stułą z ciosu po nad falami Wełtawy i ten sam zbliżał się ku nim człowiek obecnie.

Niegdyś przed laty kilku wieźli dobrzy ludzie na łodzi ciężko rannego w głowę, bezwolnego, prosząc o gościnę po drodze.

(Ciąg dalszy nastąpi)

bez odpowiednio wystawionego paszportu, że za dojazd do oględzin mięsa na stacji przyznawał sobie 80 ct. i więcej a koledze miejskiemu tylko 40 ct. i t. d. Po jednodniowej rozprawie całą sprawę odroczono; wynik jej tedy na razie niewiadomy. Obie strony są pewne zwycięstwa. Przykroby jednak było, gdyby „przypadkowo“ znowu żyd miał wyjść obronną ręką.

Dałoby to znów powód do różnych niepochlebnych dla tutejszych władz dociekań na temat bezstronności tutejszych organów wyrokujących. Niechby choć w tym wypadku zgnębiono żyda, który szeregiem referatów do starostwa „przysługiwał“ się swemu katolickiemu koledze, starając się wyprawić go tam, gdzie pieprz rośnie.

Dowodem nieufności, jaką mieszkańcy Grybowa powzięli do władz wyrokujących tutejszego sądu, jest szereg anonimów, jakie te władze otrzymują od niedawnego czasu, anonimów, będących w związku ze sprawami, rozstrzyganemi w tutejszym sądzie. Była n. p. taka sprawa, że żyd, urzędnik podatkowy Verständig, zeskamotował mieszkającemu z nim razem nauczycielowi M. spodnie. Verständig do kradzieży sam się przyznał. Mimo to sprawie, która dostała się przed sąd, umyślnie, czy nieumyślnie skręcono kark w ten sposób, że poszkodowanemu naznaczono termin do rozprawy na 11 rano, a obwinionemu na 9 rano. Wyrok zapadł zaocznie i uwalniająco. To próbka bez komentarzy.

Stąd anonimy nadsyłano tak sądowi grybowskiemu, jak i obwodowemu w Nowym Sączu. Sąd obwodowy każe na podstawie nich przeprowadzać nowe dochodzenia, słowem ogólna konsternacja w przybytku grybowskiej Temidy. Byłaby na to jedna rada: nie okazywać zbyt wiele powolności na życzenia żydów i nie prowadzić spraw tak, aby katolickie strony nie miały podstawy do wyciągania z tego powodu wniosków o krzywdzeniu siebie, jako też o nadwerężonym zmyśle bezstronności tam, gdzie idzie o wygodzenie, lub wzięcie w obronę żyda. *Bałakarz.*

ZE SWIATA.

BUENOS AYRES 1 maja.

Szalone upały. — Dziwaczna moda. — Wygodne stroje Basków. — Pretensjonalność murzynów.

Garstka Polaków, która w tym czasie zbliży się do dorzecza Rio de la Plata, świeżo importowana z Hamburga, Udine lub Amsterdamu, usłyszy zaraz na wstępie: Que calor! Un calor barbaro! Un dia sofocante! Insuportable! i t. d. Gorąco, upały są niewyczerpanym tematem, każdy czuje się poprostu zmuszonym do zakomunikowania drugim, że jest gorąco, ogromnie gorąco. Przytem obcierają się wszyscy ogromnemi chustami — najlepiej wziąć odrazu ręcznik — pot spływa strugami, jak za czassów ś. p. Noego, wreszcie, nie mogąc wytrzymać już dłużej ognistych promieni Feba, udaje się każdy na chłodną bombkę.

Ponieważ żyjemy w wieku pary i elektryczności, wszystkie większe restauracje zaprowadziły olbrzymie elektryczne wachlarze i człowiek siedzi rzeczywiście w przyjemnym chłodzie, popijając jęczmienny trunek z równym smakiem co w Monachjum i Pilznie. Mamy tu znakomite piwo, świetną kawę mrożoną, wszystko to jednak kosztuje słone sumki.

Nie każdy atoli pozwolić sobie może na całodzienne siedzenie przy bombie i uprawianie kultu Bacchusa. Buenos Ayres nie nadarmo jest nowożytną stolicą o wielko-biznesowym zakroju i niesłychanej konkurencji we wszystkich gałęziach produkcji. Trzeba pracować, choćby się skonstatowało 40 stopni w cieniu.

Noce są szczególnie przyjemne, nie poczujesz najmniejszego wietrzyku i, żeby usnąć, trzeba wyszukać sobie najchłodniejsze miejsce w całym domu. Cały dom jednak wydziela szkaradne ciepło, nie pozostaje więc nic innego, jak szukać ochłody w kąpielowej wannie, i tutaj niestety woda jest ciepła i jedyny ratunek byłby w zamianie gorącej krwi na rybią.

O wiele wygodniej jest już na przedmieściach, gdzie studnie zawierają wodę świeżą, a nawet zimną. Najstarsi ludzie zapewniają, że jeszcze nigdy nie widzieli takiego lata jak tego roku, przy końcu stulecia. Something is wrong. Zwykle po 3—4-godzinnych upałach następuje burza z piorunami, tym razem jednak żadna burza nie chce odświeżyć powietrza.

Dziwnem jest jednak, że tubylcy skarżą się bardziej na gorąco, niż cudzoziemcy, powinni przecie być przyzwyczajeni do tego rodzaju temperatury. Przyczyny szukać należy w idjotycznej modzie, nakładającej na wszystkich niesłychane ciężary. Każdy szanujący się mężczyzna nosi sztywną, twardą koszulę płócienną, do tego wysoki kołnierz, sięgający po uszy, do tego przychodzą wąskie, śpiczaste trzewiki, oto jest moda. Z czegóż żyliby specjaliści od nagniotków i od porażeń słonecznych?

Damy, białe czy czarne, są pod tym względem o wiele szczęśliwsze, mogą się one ubierać w eteryczne, cieniutkie, jak pajęczyna materje, uwolnione są od noszenia wysokich kołnierzy, wyjąwszy chyba kilka Angielek, których strój zbliża się do męzkiego. Gdyby damy porzuciły jeszcze gorsety, byłyby zupełnie à l'aise; ale gorset jest żeńską koleżanką sztywnej koszuli płóciennej i razem z miniaturowymi trzewikami staje się plagą płci pięknej. Jedyną klasą, która nosi racjonalne obuwie, są Baskowie. Ich olbrzymie „alpargatas“, podobne są nieco do sandałów, nie są jednak, jak mówi Niemcy „hoffähig“. Tylko biedni ludzie noszą trzewiki baskijskie, bo nie mogą pozwolić sobie na kurację nagniotków i wykrzywionych pięt. W całem Buenos Ayres nie znajdziesz innego obuwia prócz „nagniotkowego“; jeśli podniesz pewne zarzuty, kupiec powie ci zaraz: „Que quiere V.! Es la moda!“ (Czego pan chcesz, taka jest moda!).

Co do nakrycia głowy, to moda jest obecnie dość rozumna. Przed 10 laty noszono w największe upały kapelusze filcowe i cylindry, dziś nie spotkasz ani tuzina mężczyzn w cylindrach, wszyscy noszą kapelusze słomkowe w najrozmaitszych kolorach i fasonach. Ostatnią wreszcie plagą dla ludzi z „towarzystwa“ są czarne ubrania. Nawet murzyni ubierają się, o ile możności, czarno, choć im w tem tak do twarzy, jak cielęciu przy karecie, tak samo ciemne Argentynki stroją się w ciemne kolory; za to pudrują się w niemożliwy sposób, chcąc uchodzić par force za białe. Każda z nich chce ubierać się na czarno, żadna jednak nie chce uchodzić za czarną.

O PÓŁNOCY.

Obrazek z przeszłości.

W klasztornej celi świeca dogorywa.

Ścichła zegarów muzyka zgrzytliwa,
Które przed chwilą północ wyjęczały.
Zasnął już Lublin; śpi już klasztor cały.
Głucho, jak w sercu, przez ból spustoszonem.

Może rozpusta z obnażonem łonem
W którym z magnackich dworów czuwa jeszcze;
Może gdzie w lochu, trwogi czując dreszcze,
Nie śpi grzech, w krwawe wpatrzony straszydła;
Może intryga stawia w mroku sidła,
Albo sen płoszy szał zranionej pychy...

W klasztorze spokój — żądz nie znają mnichy.

Jednak tej świecy mrącej błyskawice
Nie na śpiącego rzucają się lice.
Ten mnich, którego pilnują anieli,
Dotąd na twardej nie spoczął pościeli.
Ani się modli, ani dawne winy
Płaci razami ostrej dyscypliny,
Ani padł krzyżem na posadzkę z cegły...

Pisze.

Kto w rysów poznawaniu biegły,
Ten z młodej twarzy, zgrzybiałego czoła,
Z czaszki, co z włosów obnażona zgoła,
Z płomiennych źrenic, brwi ściągniętych chmurnie,
Zgadnie, że mnich ten lata myślą górnie,
Że się do słońca wzbić z wysiłkiem stara,
I — że w swych lotach dzieli los Ikara.

Pisze — a płomień, co mu z oczów bucha,
Świadczy o wielkiej, wnętrznej pracy ducha.
Jako w wulkanu tajemniczej głębi,
Tak się w nim lawa wrzących myśli kłębi
I z trudem ciężkim wypływa przez słowa.

Westchnął — i niżej opadła mu głowa.

Ten Jezuita, zgrzybiały przedwcześnie,
Dawno już noce przepędza nie we śnie,
Lecz z księgą, z piórem, nad papieru kartą.
Nieraz zegary wydzwaniają czwartą
I trąbi surmacz, co ratusza strzeże,
Nieraz już bracia spieszą na pacierze,
Nad wstęgą lasów dzień się rodzi Boży —
On jeszcze czuwa, myśli, wzdycha — tworzy.

O niezrównana rozkoszy tworzenia,
Jakże twój urok życie opromienia!
Ty człowiekowi złocąc byt sierocy,
Dajesz pozory prawie Boskiej mocy.
Któregoż twórcy usta nie szeptały
Z dumą szlachetną: — „Nie! Nie umrę cały!
Choćby się istność ma w mgłę rozpłynęła,
Będą świadczyły o mnie — moje dzieła!“

Ach! Złamać śmierci niezbłagane prawo;
Gdy się już ciało stanie grobu strawą,
Duchem zawisnąć pomiędzy gwiazdami,
I stamtąd rządzić ludzkiemi duszami —
Jakichże ofiar i jakiego trudu
Byłoby nazbyt dla takiego cudu!

Lecz się nie staje cud bez Bożej łaski.
Temu, co pragnie ubrać czoło w blaski,
Którymi naród wybrańców nagradza,
Nie da ich ziemska, najgórniejsza władza,
Ani wysiłek największy rozumu,
Ani żebranie przyjaźni u tłumu,
Ani najsilniej zestrzelona wola,
Ani pomyślność, ani twarda dola —
Jeszcze ze szczytów spaść może w otchłanie:
Bo jest natchnienie i jest — opętanie...

I ojca Jacka uniosła ta fala;
Gorączka sławy piersi mu przepala;
W dzień nieprzytomny, w nocy podniecony,
Dąży jedynie do wieszczej korony.

Chciałby zakonu zostać luminarzem,
Być na Parnasie, czem jest przed ołtarzem,
Potężnem słowem wstrząsać mur kościoła,
Dźwiękami lutni giąć przed sobą czoła.

Jestże to pycha?... Dobry sługa Boży
Tą wątpliwością nierzadko się trwoży...
Wszakże pokornym kompanom Jezusa
Winna być obca próżności pokusa...

Zakonnik własne przegląda sumienie:
Świateł tam nie brak, ale są i cienie.
Wreszcie port znalazł w myślowej zawiei:
„Wszystko to przecie ad gloriam Dei“...

Jednak spokoju nie ma. Teraz właśnie,
Przy świecy, która to błyska, to gaśnie,
Stara wątpliwość, odróślszy z korzenia,
Ostre mu kolce wpuszcza w głąb sumienia.

Więc głośnych mężów wzywa na obronę.
Alboż muzyczne zdania i rzeźbione
Nie wychodziły z pod mniszego pióra?
Ksiądz Wujek, niby piorunowa chmura,
Niósł grzmot i światło, spolszczając tekst święty;
Śmiglecki gromił kacerskie wykręty
Mieczem, w klasycznej ukutym zbrojowni;
Herbest, podobny żarzącej się głowni,
Słowami piętna wypalał na duszy;
Czyjegoż serca Bembus nie poruszy?
Kogóż nie zmogą: Łaski, Junga, Reszka?
Ducha Świętego cząstka w tamtych mieszka,
Lecz ten duch wstąpił niepodzielny, cały,
W Skargę, którego pisma są jak strzały,
A mowa, z krynic Biblji zaczerpnięta,
Oporne dusze jakby siatką pęta...

I znów westnienie podniosło pierś mnicha;
W niem, prócz zachwytu, była żałość cicha.
Ach! bo ksiądz Jacek tych wysokich gości
Nietylko wielbi — on im i zazdrości!

Teraz, gdy wszystko odrętwia noc głucha,
Wypełznął skrycie z tajnych kątów ducha
Brzydki, syczący gad... czarcia zasadzka
Na spokój, życie i zbawienie Jacka!

Wie, że tu żadne nie wkradnie się oko,
Więc odkrył ranę, ukrytą głęboko,
I z samobójczą ciekawością bada:
Rychło do serca sięgnie żądło gada?

Ta zawiść pierś mu, nakształt raka, toczy,
Od niej ma zawsze pomieszane oczy,
Od niej twarz żółtą i postać wychudłą
I wysuszone wesołości źródło.

Próżno się pracą nad siły uśmierca,
Próżno mózg dręczy, krew wyciska z serca —
Nie zdobył cienia marzonej wielkości!
Pochwałę mowcy niosą ludzie prości —
Zadowolenia nie kupi on za nią.
Uczeni milczą — nawet i nie ganią...
Daremnie dotąd szuka tego tonu,
Co w serca ludzkie bije nakształt dzwonu
I tłum podnosi wysoko, do Pana,
Albo go rzuca nagle na kolana.

Często, gdy słowo opowiada Boże,
Żar piersi mu pali — w słowa przejść nie może,
Już mu się zdaje, że na kształt pochodni,
Pożar rozniecił — a słuchacze chłodni.
Chwyta za pióro — z Muzą gorzej jeszcze!
Rzymscy genjusze, chrześcijańscy wieszcze,
Gdy tylko bratać się z nimi poważy,
Ziębią go chłodem marmurowych twarzy,
I wyrastają w niebo, jak olbrzymy,
Mówią: — „My ciebie nawet nie widzimy...“

Niegdyś, nim jeszcze przeszedł wiosny metę,
Z tym samym ogniem miłował kobietę,

A ona również, marmurową twarzą,
Pierś mu zmroziła. Dziś go losy karzą
Bólem podwójnym, i cierpi tembardziej,
Że jego sercem ta i tamta gardzi.

Lecz jeszcze walczy, jeszcze myśl wytęża.
Z dłoni kruchego nie puszcza oręża,
Póki ostatniej nie użyje mocy.
Dni wszystkich nudę, mękę wszystkich nocy
Chętnie za gałąź odda wawrzynową;
Sławę zapłaci dni swoich połową,
Byle na okres, jeszcze nie przeżyty,
Otrzymał od niej wieniec — i zaszczyty.

Ach! bo ksiądz Jacek i zaszczytów głodny...
Dziś, to Chrystusa służebnik niegodny,
Mnich, jakich wielu, stróż Bożego domu,
I bogomódlca, nie dziwny nikomu.
Miewa kazania: nikt po nich nie gorszy,
Lecz do dobrego nikt również nie skorszy.
O księdza Jacka spytaj prowincjała,
Powie: — „A, Jacek"... To oracja cała.
Mnich, jak lunatyk, i w nocy, i we dnie,
Nie śmie na miejsca wysuwać się przednie;
O jego sławie między braćmi głucho,
O jego wierszach coś szepczą na ucho...

Jakże odmienny los Jacka w marzeniu!
Pierwszy w klasztorze, pierwszy w Zgromadzeniu,
Dyktuje dawnym przełożonym prawa.
Lublin mu ciasny; gości go Warszawa,
Lecz i tam wielkie nie mieści się imię.
Czci wieszcza Paryż, wielbią mówcę w Rzymie.
Z drukiem pism jego ledwie zdążą tłocznie,
Sam król zapragnął poznać go naocznie.
Miodowe słowa ma on dla poety,
Złote łańcuchy, kosztowne sygnety,
I na dworskiego dyplom kaznodzieję.
Odtąd już szczęście strugą nań się leje,
Strojąc mu życie we wszystkie ponęty.
Do Rzymu Jacka wezwał Ojciec Święty,
Wręcza mu medal, co jak słońce płonie,
I wawrzynami koronuje skronie.
Te hołdy, kwiaty, dyplomy, korony,
Ten obraz cały — jestże wymarzony?
Czy z grzesznych rojeń wzięto wzór do niego?
Nie! ten los szczęsny, to los — Sarbiewskiego.

O! ten Sarbiewski! dziw całego świata!
Jakże on Jacka swą chwałą przygniata!
Mnich nań lubelski patrzy z czuciem takiem,
Jakby sam płazem był, a tamten ptakiem.
A swoją szarość, gdy z jego blaskami
Zestawia, duszę taki cień mu plami,
Że gdyby znagła, w mroczną tym zamętem,
Spojrzał spowiednik — cofnąłby się z wstrętem.

Mnich stół odepchnął — rzucił zaschłe pióro —
Dłońmi skroń ścisnął i duma ponuro.
Bóg wie, jak wielkie cierpi w sobie męki...

W tem poczuł tknięcie niewidzialnej ręki,
Drgnął i odwrócił się.

„Ojcze Niebieski!
Co?... Pater Matthias?..."

Przed nim stał Sarbiewski.

Świeca buchnęła ostatkiem płomienia;
Gościa nocnego jasno opromienia.

Prosty, poważny, wielkich myśli brzemię
Niosąc pod czaszką, stał jak wrosły w ziemię;
Ręce na piersiach trzymał założone,
A z ust mu słowa płynęły mierzone...

„Polskim Horacym przez wszystkich nazwany,
Pisałem grzmiące ody i peany.
Podziwem świata byłem i zachwytem,
Znam się z czcią każdą i z każdym zaszczytem.
Mocny w wymowie, biegły w filologji,
Zbadałem także głębię teologji,
I co każdemu uczonemu miłem,
Wysoki tytuł doktora zdobyłem.
Darząc najwyższych godności nadzieją,
Król mię uczynił swoim kaznodzieją,
I wręczył pierścień z palca swego zdjęty.
Wreszcie domierzył hołdów Ojciec Święty,
Własnemi dłońmi kładąc mi na głowę
Kute ze złota liście wawrzynowe,
I dając medal, co błyszczał, jak słońce...
Pełne mną były Europy końce,
I dusza moja wszystkich skosztowała
Słodyczy, które mieści w sobie chwała —
A dziś do ciebie, bracie mój, przychodzę,
Aby przestrogę dać na życia drodze,
Że ten blask wszystek: marność!... marność!...
[marność!"...

Zagasła świeca — i gość zapadł w czarność.

Porwał się Jacek. Choć w nim duch zamiera,
Do drzwi swej celi przez mrok się przedziera,
Maca — zasuwy drzwi zamkniętych strzegą...

Więc na modlitwie trwał do dnia białego.

Rano zszedł na mszę — spostrzega w kościele,
Strojny katafalk i żałoby wiele,
Trumny nie widzi. Nagle, w środku nawy
Wita go przeor: — „Dziś, goniec z Warszawy,
Wielce bolesną przyniósł wieść o zgonie...
Zgasł ten, co słońcem był w naszym zakonie:
„Pater Sarbievius".

Mnich padł na kolana...
I — został cichym służebnikiem Pana [1]).

Wiktor Gomulicki.

[1]) Fakt, służący za podstawę powyższemu opowiadaniu, jest zapisany w „Zbiorze krótkim herbów Polskich", księdza B. Chmielowskiego w słowach następujących:
„Po śmierci, pokazał się (Sarbiewski) widocznie księdzu Szalubskiemu, Jezuicie, kaznodziei królewskiemu, mówiąc: Pater Szalubski, et Regium concionatorem et laureatum Poëtam et Doctorem Theologiae fuisse — vanitas est".

KRONIKA.

Kalendarz kościelny. W poniedziałek Heleny, królowej; we wtorek Julji, panny, męczenniczki i Ryty, wdowy; w środę Andrzeja Boboli i Dezyderjusza, biskupa, wyznawcy.

Kalendarz myśliwski. Od 15 maja wolno polować na: rogacze (samce sarn).

Dziki i lisy należy tępić.

Przez cały rok nie wolno polować i należy ochraniać: łanie, sarny (kozy), cielęta i spiczaki, tudzież samice głuszców i cietrzewi.

Kalendarz rybacki. Od 15 maja wolno łowić: bolenia, lipienia, głowacicę, pstrąga i łososia, oraz raka samca.

Ochraniać należy: jazia, swinkę, czopa, sandacza, cytrę i brzanę, oraz raka samicę.

Kalendarz astronomiczny Wschód słońca rozpoczyna się w poniedziałek o godz. 3 minut 47, zachód przypada o godz. 7 minut 27. długość dnia godzin 15 minut 40.

Zmiana lunacji: Druga kwadra księżyca przypada dn. 21 o godz. 3 minut 49 po południu.

Stan powietrza. Dnia 21-go maja o godzinie 7 rano barometr 747·4, termometr + 8·0, wilgotność 74%, wiatr zachodni. 0

Repertuar teatru miejskiego.

We wtorek, 22 b. m.: „Kołyska" (La Berceuse), komedja w 3 aktach Brieux (po raz 2). — „Kolacyjka", kom. w 1 akcie A. Schnitzlera.

W środę, 23 b. m.: „Dyletanci", studjum sceniczne w 4 aktach Zofji Wójcickiej (popul.).

We czwartek, 24 b. m: „Sen srebrny Salomei", romans dramatyczny w 5 aktach Jul. Słowackiego (benefis Andrzeja Mielewskiego).

W piątek, 25 b. m.: Teatr zamknięty.

W sobotę, 26 b. m.: „Zgon miłości", satyra w 4 akt. Roberta Bracco (występ gościnny p. Aleksandry Lüde, art. teatr. warsz.).

W niedzielę, 27 b. m.: „Zgon miłości", satyra w 4-ch aktach (drugi gościnny występ p. Al. Lüde, art. teatrów warsz.).

W poniedziałek, 28 b. m.: „Zgon miłości", satyra w 4 aktach (trzeci i ostatni występ p. Aleksandry Lüde, art. teatrów warsz.).

Repertuar teatru w Parku Krak.

W poniedziałek, 21 b. m.: „Siedmiu Szwabów".
We wtorek, 22 b. m.: „Lalka".
W środę, 23 b. m.: „Gasparone".
We czwartek, 24 b. m: „Lalka".
W piątek, 25 b. m.: „Gasparone".
W sobotę, 26 b. m.: „Boccacio".
W niedzielę. 27 b. m.: „Boccacio".
W poniedziałek, 28 b. m.: „Boccacio".

Rada miejska odbędzie posiedzenie nadzwyczajne w środę dnia 23 b. m. o godzinie 5 popołudniu.

Wydział krajowy zamianował dra Antoniego Jurasa i dra Mieczysława Kazrlika sekundarjuszami szpitala św. Łazarza.

Docent dr W. Łepkowski wyjątkowo w tym roku przez sezon letni w Zakopanem ordynować nie będzie, pozostając stale w Krakowie, a to z powodu zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie.

Jubileusz Uniwersytetu Jagiellońskiego. W dniu wczorajszym w lokalu Czytelni kobiecej odbyło się posiedzenie komitetu, mającego za zadanie zwołanie wiecu kobiet Polek z okazji 500-letniego jubileuszu Wszechnicy Jagiellońskiej. Zebrane uchwaliły: zwołać wiec na dzień 4 czerwca, t. j. drugie święto Zielonych Świątek do Krakowa. Celem wiecu ma być wspólne naradzenie się uczestniczek nad udziałem kobiet w pracy społeczno narodowej. Program wiecu w ogólnych zarysach zawierać będzie: 1) Zagajenie przez przewodniczącą komitetu wiecowego. 2) Wybór honorowego prezydjum. 3) Odczytanie referatów. 4) Uchwalenie rezolucyj. 5) Pochód na Wawel celem złożenia hołdu królowej Jadwidze.

Uchwalono wydać odezwę, zapraszającą ogół Polek do wzięcia udziału w wiecu i rozesłać ją po kraju, oraz wydrukować w dziennikach. Zebrane podzieliły się na komisje: kwaterunkową, przyjęć i oprowadzania po mieście i organizacyjną. O Zorganizowanie pochodu na Wawel proszono koło artystek polskich.

Uroczyste zamknięcie roku szkolnego kursów dopełniających przemysłowych wieczornych, odbyło się w niedzielę przed południem. O godzinie 9 młodzież ze wszystkich pięciu szkół wieczornych w liczbie około tysiąca, zebrała się w kościele księży Pijarów, gdzie nabożeństwo odprawił ks. poseł Szponder, kazanie zastosowane do okoliczności wygłosił ks. dr. Gołba, a chór młodzieży rzemieślniczej pod kierunkiem p. Sierosławskiego, wykonał pieśni religijne.

O godzinie wpół do 11 w szkole miejskiej na Kleparzu, wobec całego grona nauczycielskiego i przybyłych na ten akt kilkunastu majstrów, oraz młodzieży rękodzielniczej, kierownik tejże szkoły p. Karol Drozdowski, w dłuższem przemówieniu zagaił akt zamknięcia roku szkolnego, w którem głównie zaznaczył dobre i wzorowe zachowanie się uczniów. Ci w ciągu ostatniego roku ani razu nie dali powodu do skargi o wykroczenia przez wywołanie ekscesów ulicznych, jak to bywało w latach poprzednich, gdzie aż sądownie musiano karać uczniów szkoły, zakłócających spokojność na ulicach miasta. Wobec rozsądnego postępowania młodzieży, wzmógł się też postęp, w jej pracy i nauce, czego dowodem liczne nagrody rozdzielone pilnym i zdolnym uczniom.

Z przyjemnością możemy zaznaczyć, że szkoła wieczorna na Kleparzu, najliczniejsza, dzięki zbawiennym wpływom jej kierownika i całego grona nauczycielskiego, stała się instytucją wzorową, przynoszącą niewątpliwe korzyści uczącej się młodzieży, — pryncypałom i społeczeństwu. Na 301 uczniów zapisanych w tym roku w 6 oddziałach, nieklasyfikowanych było 88, z tych 30 z powodu opuszczenia terminu, lub przeniesienia się do innych miast, przestało zupełnie uczęszczać do szkoły. Z dobrym postępem ukończyło szkołę 23. Z tych jeden nawet po wyzwoleniu już na czeladnika, uczęszczał do końca roku szkolnego, aby uzyskać świadectwo z zupełnego ukończenia. Wśród licznych nagród udzielonych w darach pieniężnych i książkach, wymienić należy dwie nagrody Wydziału krajowego, z których pierwszą, 10 koron, otrzymał Władysław Jordan, za ślusarski rysunek fachowy, przedstawiający schody żelazne; drugą nagrodę za rysunek stolarski (stalle kościelne) w kwocie 6 koron, otrzymał Jan Lepiarz. Inne nagrody pieniężne po 3 korony udzielane były w książeczkach oszczędnościowych 5 procentowych Tow. zaliczkowego rękodzielników i przemysłowców. Książeczek takich rozdzielono na całą szkołę 12.

Po rozdzieleniu nagród uczestnicy zwiedzili wystawę, przedstawiającą dobytek całorocznej pracy uczniów, która daje dowód o widocznym postępie i użyteczności kursów wieczornych. Rysunki fachowe w wszystkich kierunkach przedstawiają się nader okazale, a w niektórych przebija się niekiedy polot artystyczny. Wypracowania piśmienne i rachunkowe również świadczą o postępie i miarowem udoskonaleniu. Na uroczystości nie widzieliśmy delegata Wydziału krajowego p. Rottera.

Posiedzenie komitetu obywatelskiego dla urządzenia obchodu w szerszych sferach mieszkańców Krakowa z powodu jubileuszu Wszechnicy Jagiellońskiej, odbędzie się dziś, w poniedziałek, o godzinie 6 popołudniu, w górnej sali „Sokoła", o czem prezydjum komitetu przypomina panom członkom z prośbą o punktualne zebranie się.

Koncert na cytrach. P. Grzegorz Senowski, artysta naszej sceny, i nauczyciel gry na cytrze, urządza w pierwszej połowie przyszłego miesiąca popis gremjalny swoich uczniów. W nader interesującym programie wykonane zostaną utwory aż na 14 cyter razem. Prócz tego wykonane będą także utwory solowe, duety i kwartety.

Podziękowanie W imieniu całego Stowarzyszenia katolickiego stróżów kamienicznych w Krakowie, składam podziękowanie Przewieleb. księdzu Imperiorowi, Włodzimierzowi Ledóchowskiemu, czcigodnemu kuratorowi naszemu, za jego szczerą pracę, z jaką się tak gorliwie naszym festynem zajmował. Wojciech Sołtys, prezes Stowarzyszenia.

Z teatru. W sobotę święciliśmy w teatrze miejskim jubileusz zasłużonego reżysera naszej sceny i znakomitego artysty Ludwika Solskiego. Publiczność powitała Solskiego owacyjnie; wręczono mu z orkiestry wspaniałe kwiaty, między którymi zwracała uwagę olbrzymia kołyska z kwiatów, stanowiąca aluzję do tytułu sztuki, jaką Solski wybrał sobie na benefisowe przedstawienie.

Sztuka jest napisana przez jednego z najmodniejszych dziś pisarzy paryskich, Brieux'go, a ma za te-

mat kwestje rozwodów. Rozwódka (p. Siennicka), mająca małe dziecko, wychodzi za mąż, za człowieka, który ją bardzo kocha i którego ona bardzo szanuje (p. Solski). Pierwszy mąż (p. Mielewski), którego porzuciła dlatego, że ją zdradzał, ma naturalnie prawo widywać się z dzieckiem w domu rodziców swojej eks-żony. Trzeba nieszczęścia, że malec podczas jednej z takich bytności u dziadków dostaje zapalenia płuc. Pierwszy mąż, który zresztą bardzo kocha swoją eks żonę i swoje dziecko, prosi o pozwolenie czuwania nad łożem dziecięcia wraz z matką, do czego ma tem więcej prawa, że sam jest lekarzem.

Następuje przesilenie; dziecko przychodzi do zdrowia. Matka w przystępie radości rzuca się w objęcia swojemu ex-mężowi. Pokazuje się, że go jeszcze kocha, choć mu przebaczyć zdrady nie może. Biedak tłomaczy się jednak bardzo czule i wymownie. Mąż drugi odczuwa co się dzieje i domaga się, aby dziecko, w którem widzi słusznie nierozerwalny łącznik pierwszego małżeństwa, nie mieszkało przy matce. Ona nie chce o tem słyszeć, co tem więcej zbliża ją do męża nr. 1. Mąż nr. 2 przez miłość cofa swe żądanie. Już zapóźno. Żona oświadcza, że kocha męża nr. 1. Między oboma mężami wywiązuje się gwałtowna, świetnie napisana scena, której rezultatem jest, że dama, która ma „embarras de richesse“ z mężami, rozstaje się z jednym, ale nie wraca do innego. Zostaje u rodziców sama z dzieckiem, a mężowie bardzo szlachetni, rozchodzą się w swoje strony.

Temat, u nas nieaktualny, widocznie nużył publiczność, mimo iż sztuka napisana jest z francuską subtelnością, jakkolwiek bez imponującego talentu. Solski wzbogacił galerję swoich kreacyj, nową, bardzo starannie i szlachetnie opracowaną postacią. Prócz niego jednak i p. Siennickiej w niektórych scenach, przedstawienie nie należało do najlepszych. Nawet p. Roman był jakoś nie w swoim sosie.

Siedmiu szwabów zdołało aż nadto ubawić tych, którzy szukali w ubiegłą niedzielę rozrywki w teatrzyku Parku Krakowskiego, gdzie gra Czystogórski ze swą „lubelską“ operetką. Na pochwałę i uznanie tej operetki trzeba przyznać, iż w porównaniu z jej artystycznym składem i wyglądem, w jakim ją pamiętamy z występów w Podgórzu, zmieniła się ona dużo na lepsze. Przedewszystkiem Towarzystwo dokompletowało się siłami tej miary, co p. Orzelski, tenor dziś rozsypującej się operetki lwowskiej, dalej p. Kratochwil, również z tego Towarzystwa, nadto pani Lenartowicz, trochę już ześpiewany, ale zawsze jeszcze wcale efektowny jak na operetkę wędrowną sopran, wreszcie p. Stypkowski, wcale pokaźny baryton, któremu nie można odmówić na każdy sposób gry, nacechowanej dużą inteligencją.

Cenne te nabytki uwidoczniły się w wykonanej w niedzielę operetce p. t. „Siedmiu Szwabów“. Całość szła składnie, akt pierwszy nawet doskonale, zwłaszcza chóry śpiewały z dużą brawurą i wielką pewnością siebie. W ocenę ról poszczególnych się nie wdając, nie możemy mimowoli wstrzymać się od wyrażenia kilku słów zachwytu dla p. Orzelskiego i dla jego ślicznego głosu, który dominuje nad całym ensamblem i błyszczy wśród swego szarego zresztą swym artyzmem otoczenia, jak brylant, wart ozdobniejszej dla siebie oprawy. Ogółem biorąc, cała operetka Czystogórskiego w Parku krakowskim warta jest teraz ucha większej liczby publiczności, niż to dotychczas bywało.

Jeżeli orkiesta tu i owdzie niedomaga i wiele miejsc ślicznych w takiej „Lalce“, czy „Siedmiu szwabach“ zamazawszy, niedostrzeżonemi czyni, to już nie wina śpiewaków, którzy robią z siebie, co mogą i dużo nawet robią. Stanowczo warci oni poparcia licznego i uznania, któremu na przeszkodzie już nie stanie nawet niemożliwy dotychczasowy chłód wieczorny. Ten zresztą zaczyna już należeć do przeszłości. W przypisku dodajemy, że każdą dawaną operetkę urozmaicają produkcje doskonałej pary tancerzy ze Lwowa, jakimi są p. Solnicki i panna Bogdanowicz.

Rodzina znakomitych gimnastyków urozmaica obecnie swemi produkcjami wieczorny pobyt gości Parku Krakowskiego. Jest matka, ojciec i dwoje milusińskich, wszystko czworo zawołani gimnastycy na reku, drążku itp. Jeżeli gimnastyka na reku, czy trapezie, umieszczonym bardzo wysoko, gdzie gimnastykującemu się osobnikowi przy najmniejszem niepowodzeniu grozi śmierć na miejscu, uważana być może za sztukę i artyzm sui generis, to produkująca się obecnie w Parku Krakowskim rodzina, a raczej ojciec, matka i dwoje ich bobów, są artystami w całem tego słowa znaczeniu. Aż żal przytem bierze, jak to biedactwo marzło dotychczas podczas swych produkcyj w Parku Krakowskim, gdzie dotąd wieczorami panował przeraźliwy chłód.

Mimo to produkcje karkołomne odbywały się swoim porządkiem. Przygrywa im orkiestra wojskowa. Wstęp żaden, bo rodzina gimnastykująca się „uprzyjemnia“ jedynie swemi produkcjami gościom, siedzącym przy stolikach i zapijającym piwo. Produkcje te niedługo bardziej szczegółowo opiszemy, jak na to zasługują. Dziś zachęcamy tylko do przypatrzenia im się w którym z najbliższych wieczorów. Są bez porównania efektowniejsze niż te, które w cyrku można oglądać. Sławna w swoim czasie Miss Charmion, która taką furorę robiła we Lwowie ubiegłego roku w cyrku Henryego, bynajmniej nie jest lepszą od Miss Julianny. Ma tylko cudne i bogate toalety, amerykańską za sobą reklamę i nie wykonuje swych produkcyj na przeraźliwym chłodzie wieczornym.

Wystawa kwiatowa. Towarzystwo ogrodnicze w Krakowie postanowiło urządzić na wiosnę 1901 r. w drugiej połowie kwietnia wystawę kwiatów wiosennych, gruntowych i doniczkowych, do których należą między innemi rododendrony, azalje, kamelje, pelargonje, lewkonje, laki, goździki, fiołki, cyklamy, hiacynty, tulipany, cinerarje itp. Zadaniem wystawy będzie przedstawienie stanu naszego ogrodnictwa kwiatowego, tak u fachowych ogrodników, jak u amatorów, a najpiękniejsze okazy będą nagrodami odznaczone. Program szczegółowy będzie później ogłoszony i na żądanie nadesłany.

W Czytelni dla kobiet dnia 18 b. m. rozstrzygnięty został konkurs na plakat, urządzony staraniem koła artystek polskich. Nagrodzone zostały plakaty pod godłem „Bierz siły na zamiary“ Marji Podlewskiej i „Koledzy“ Leony Biczkowskiej. Zawiadamia się Artystki, iż prace nienagrodzone są do odebrania w Czytelni dla kobiet, Szpitalna Nr. 7, między godziną 6 a 7 wieczorem.

Ze stacji ratunkowej. W nocy z soboty na niedzielę zgłosiła się na stację służąca Marja Urban, z bardzo dużą raną poniżej lewego oka. Osłabioną Urbanównę po opatrzeniu odwieziono do szpitala św. Łazarza.

W niedzielę wieczorem wezwano pogotowie na Grzegórzki, gdzie pod l. 74 dwaj bracia Maliccy, podpadłszy w sprzeczkę i kłótnię, wszczęli bójkę, w której jeden z nich Marjan otrzymał silną ranę w prawej ręce nad stawem garstkowym, przecinającą tętnicę. Wskutek silnego upływu krwi Marjan Malicki stracił przytomność. Pogotowie po opatrzeniu i przywróceniu do przytomności, odwiozło Malickiego do szpitala św. Łazarza na oddział chirurgiczny.

Jeszcze o Tomaszewskim. W sprawie krsdzieży Tomaszewskiego, przybył w sobotę do Krakowa adwokat Makow z Łodzi. Według opowiadania p. Makowa, Tomaszewski pod innem nazwiskiem zgłosił się do niego jako zdolny lokaj ze znakomitemi świadectwami i poleceniami od znakomitych osób. Wobec tak świetnej rekomendacji, p. Maków sądził, że zgłaszający się będzie dla niego może zbyt drogim lokajem, gdyż sam był zdecydowany na 12 rubli miesięcznej płacy, i niezmiernie się zdziwił, że Tomaszewski żądał tylko 10 rubli miesięcznie i liberję. Jednakże po dwóch dniach oświadczyła pani Makowe mężowi, że nowy lokaj jest najkompletniej nie zdatny do służby, bo nawet trzepać dywanów nie umie a kiedy Tomaszewskiemu z tego powodu wypowiedziano natychmiast służbę, ten po rosyjsku począł się użalać i prosić, aby go zatrzymano.

Po wydaleniu go na trzeci dzień zrana, kradzież została spełniona w domu państwa Makowów następnej nocy. Złodziej zabrał wszystkie pieniądze, kosztowności, depozyty a nawet policę życiową, wszystko w łącznej wartości do 15 000 rubli, i tak ogołocił p. Makowa, że rano nie było nawet pieniędzy na śniadanie. Tomaszewski ze zdobyczą udał się do Warszawy, skąd postanowił odesłać policę p. Makowowi, a nie chcąc sam pisać adresu, prosił urzędnika pocztowego w Warszawie o zaadresowanie, gdy mu zaś ten odmówił tej przysługi, poruszył całą pocztę, a nawet udał się do dyrektora ze skargą na urzędnika, że ten mu nie chce adresować listu, do czego jest zobowiązany, ponieważ posyłający pisać nie umie. Czelność Tomaszewskiego dokazała swojego i urzędnik musiał adresować list z polecenia dyrektora.

Oto są nowe epizody z historji niebezpiecznego ptaszka.

Redaktor „Mieszczanina“ Bahrke skazany został wyrokiem trybunału karnego na sześć tygodni ciężkiego więzienia z postem całodniowym co dni czternaście, na zwrot kosztów procesu i weksla otrzymanego przez p. Czecza. Tym wyrokiem zamyka się smutno „katoństwo“, z jakiem „Mieszczanin“ krakowski rozpoczął rewelacje w sprawie Kasy wielickiej.

Sprawa jest jednym więcej smutnym obrazkiem naszej moralnej nędzy. Nie dość, że jest coraz więcej takich, co kradną; okazuje się nadto, że i ci, co demaskują złodziei, nie zawsze czynią to z pobudek bezinteresownych, a używają przytem sposobów równie brzydkich, jak karygodnych.

Wymowie obrońcy oskarżonego, dra Jana Jakubowskiego, (mylnie podano, że bronił oskarżonego mec. Csesnak) nie udało się przekonać trybunału, że czyn p. Bahrkego nie był karygodny; gdyby jednak nawet p. Bahrke mógł był udowodnić, że nie miał zamiaru wymuszenia na p. Czeczu pieniędzy i że nie zamierzał tych pieniędzy zatrzymać dla „Mieszczanina“, to i tak nie mogłoby być dwóch zdań co do etycznej wartości czynu p. Bahrke.

Smutnem jest w tem wszystkiem i to także, że pismo tak haniebnie skompromitowane procesem p. Bahrkego, nadużywa nazwy organu mieszczaństwa krakowskiego. Byłby najwyższy czas, aby mieszczaństwo solidarnie zaprotestowało przeciwko temu nadużyciu.

Z początku, kiedy „Mieszczanin“ służył hasłom chrześcijańskim i podejmował walkę w kilku słusznych sprawach, zdawało się, że będzie mógł odegrać dodatnią rolę. Niebawem jednak sprzymierzył się z socjalistami i potem upadał coraz niżej. Pismo takie, jak „Mieszczanin“, szkodzi tylko niepomiernie sprawie mieszczaństwa, zniechęca wszystkie inteligentniejsze wśród niego żywioły — a procesami takiemi, jak ostatni, przynosi zamiast pożytku, jedynie wstyd mieszczaństwu, które chce w sposób samozwańczy reprezentować.

Skarb w sienniku. Przy zmarłym nagle w dniu 11 b. m. stróżu nocnym, Błażeju Słowiku, znaleziono w chwili śmierci, jak podaliśmy, 160 koron w banknotach 10-guldenowych. Wieści chodziły, że zmarłyj posiadał większą sumę, a nawet przeznaczył 400 złr. na Msze św. za duszę zmarłej swej żony. W ubiegłą sobotę wspólnie z nim mieszkający stróż Magistratu Szczepan Janas w sienniku po zmarłym znalazł pieniądze ukryte w kwocie 2320 koron w banknotach 10 guldenowych. Pieniądze te odziedziczy prawdopodobnie syn naturalny zmarłego, gdyż bliższych krewnych podobno nie ma.

Na wychodźtwie przyaresztowano Wojciecha Muchę 25 lat liczącego i 17-letniego Wojciecha Kurgana, obydwóch z Doleny Małej, dla braku legitymacyj.

Z kolei państwowych. Przystanek ruchu Schönwehr, położony na szlaku Marienbad-Karlsbad, w obrębie dyrekcji kolei państw. w Pilznie, został otwarty od 15 maja b. r. dla ruchu osobowego i pakunkowego.

Hellmann, oskarżony we Lwowie o usiłowanie otrucia pani Szeparowiczowej, umiał przekonać sędziów przysięgłych, że Szeparowiczowa zmyśliła wszystko z zemsty, ponieważ Hellmann, gdy pojawił się przy pani Sz. p. Wlazło, zażądał zwrotu dawanych jej pieniędzy. Hellmanowi dało namiestnictwo bardzo pochlebne świadectwa. Przysięgli uwolnili go od winy jednomyślnie. Szeparowiczowa z powodu choroby nie była wcale obecna na rozprawie.

Prof. Karejew, znany rosyjski historyk, zajmujący się z prawdziwem zamiłowaniem bezstronnem badaniem dziejów naszych, bawi od dni paru we Lwowie, dokąd przybył celem poznania naukowych zbiorów i kolegów swoich w zawodzie. Skorzystało z tego grono profesorów Uniwersytetu urzędników Ossolineum i członków Koła literacko-artystycznego i przyjęło ytmi dniami wieczorem petersburskiego gościa ucztą składkową, do której zasiadło kilkadziesiąt osób. Odbyła się ona w wielkiej sali Koła literacko-artystycznego, pozostawiając wśród uczestników zebrania sympatyczne wrażenie. Pierwszy przemówił imieniem „Koła“ p. Stanisław Schnür-Pepłowski, zwracając uwagę na dwa pojęcia przewodnie, które każdemu w pracy umysłowej przyświecać winny; prawda i bezstronność — to dwie nieodłączne zasady, jakim hołdować pragniemy zawsze i wszędzie. Im bardziej zbliżymy się do tych ideałów w działalności pisarskiej czy w życiu, tem łatwiej możemy odczuć się wzajemnie i szanować. Prof. Karajew hołduje właśnie tym hasłom, p. Pepłowski wznosi więc jego zdrowie jako człowieka dobrej woli i bojownika dobrej sprawy.

Po oklaskach odpowiedział prof. Karajew, przepraszając za to, że nie władając dobrze językiem polskim, przemawiać musi po rosyjsku. Stosunek jego osobisty z Polakami zaczął się z chwilą, w której objął katedrę w Uniwersytecie warszawskim. Warunki zstał tam trudne, ale postanowił działać pod hasłem służenia prawdzie, czy to naukowej, czy moralnej, bo obie te prawdy stanowią jedność.

Pierwszy swój wykład w Warszawie pragnął rozpocząć od wiersza Mickiewicza do Lelewala: „A słońce prawdy nie zna wschodu ni zachodu...“ lękał się jednak, aby zła wymowa polska nie naraziła go na śmieszność. Utrzymywał najlepsze stosunki ze słucha-

czami i kolegami Polakami, co stwierdza z prawdziwą przyjemnością. W późniejszem życiu postępował zawsze tak samo, a na zebraniu, danem w Petersburgu przez Polaków na cześć Paszkina, wyraził życzenie, aby takie wspólne schadzki odbywać się mogły najczęściej. To się urzeczywistnia, bo właśnie postanowiono nad Newą uroczyście święcić jubileusz Wszechnicy krakowskiej. Wnoszę w tej myśli toast— brzmiały końcowe słowa — aby takie spotkania w przyszłości powtarzały się jak najczęściej".

Prof. Dembiński z ogromnym zapałem i polotem wychylił toast na cześć gościa i prawdy historycznej, prawda jest bowiem gruntem, na którym historja stanąć powinna, aby fałszowi śmiało spojrzeć w oczy; wreszcie dr J. Bartoszewicz, jeden z uczniów „złotoustego profesora" — jak w Warszawie młodzież p. Karajewa nazywała — wyraził życzenie, aby na naszej ziemi był gościowi naszemu przyjemnie i swojsko.

Policmajster Włocławka, rotmistrz Łagunów otrzymał dymisję za wywołanie awantury w teatrze we Włocławku w dniu 6 maja b. r. Dymisję Łagunowa ogłasza urzędowy „Warsz. Dniewnik" z wyraźnem zaznaczeniem, że nastąpiła ona z decyzji generał-gubernatora.

Swoszowice własnością Chrześcijanina! Otrzymujemy następujące pismo: „Na wielostronne nadchodzące do nas zapytania, o ile prawdą jest, że zdroje swoszowickie przeszły w ręce katolickie, ma podpisany zarząd tychże honor oświadczyć, że właścicielem ich stał się dr Wiktor Włyński, przybrawszy sobie za fachowego zarządcę Mikołaja Sroczyńskiego. Te powszechnie znane nazwiska dają wszelką gwarancję uczciwego, sumiennego i nie żaden osobisty interes, lecz tylko tanią wygodę i przyjemność na oku mającego prowadzenia zakładu zdrojowego. Z poważaniem Zarząd.

„Ojciec żydów" w Nowym Sączu przed sądem. W ubiegłą sobotę odbył się w Nowym Sączu proces, którego smutnym bohaterem był, znany z procesu Färbera, wójt z Szaflar, Wojciech Kamiński, oskarżony o oszustwo i cały szereg malwersacyj służbowych, popełnionych w czasie swego wójtostwa, a z nim zasiadali na ławie oskarżonych Jędrzej Kaleta i Jan Palider, włościanie z Szaflar, obwinieni o fałszywe świadectwo w sprawie Kamińskiego.

Rozprawę prowadził radca Pisztek w towarzystwie radców: Cieszyńskiego, Rajcy i Wiśniewskiego i protokolanta p. Kosmana. Obwinionych oskarżał zastępca prokuratora dr Czerny, Kamińskiego bronił prof. dr Rosenblatt, Palidra zaś dr Chodacki.

Z aktu oskarżenia dowiadujemy się, że Wojciech Kamiński gospodarował w gminie Szaflary przez lat kilkanaście jak istny tyran - despota. Za spełnianie funkcyj wójtowskich kazał sobie grube płacić łapówki i, korzystając z ciemnoty ludu, wyłudzał znaczne kwoty, przyczem osłaniał się fałszywym pozorem znawcy i wpływowego pomocnika w sprawach prawnoprywatnych.

Oskarżony Kamiński do winy się nie poczuwa, — owszem, usiłuje się przedstawić jako dobroczyńca miejscowej ludności. „Brałem wprawdzie — powiada — podarunki w sprawach urzędowych, ale tylko dlatego, że mi je ludzie gwałtem, wbrew nawet mej woli (?), dawali. Sam przytem znaczniejsze ponosiłem szkody i więcej mitręgi czasu, niż te datki wartały".

Z zeznań całego szeregu zaprzysiężonych świadków stwierdzić można, że zarzuty aktu oskarżenia nie dalekie były od prawdy, równocześnie jednak obrońca p. Kamińskiego, dr Rosenblatt wręczył podczas rozprawy każdemu z pokrzywdzonych żądane pieniężne odszkodowanie. Rozdano w ten sposób dwudziestu świadkom przeszło 300 złr. Przedłożone w ciągu rozprawy świadectwo moralności oskarżonego, wystawione przez gminę Szaflary, powiada, że Kamiński prowadził życie nienaganne, ale że jest bardzo skąpy i że posiada 50 mórg gruntu, dwa duże domy i że opinja ocenia go najmniej na 50.000 złr. gotówki. W jaki sposób do tak znaczego majątku przyszedł, domyślać się kazała chyba treść rozprawy.

Po wywodach zast. prokuratora Czernego, który ostro wystąpował przeciw twierdzeniu obrony, jakoby wina upadła wskutek przedawnienia, bo szkoda jest dopiero obecnie na rozprawie wynagrodzona, a nie przedtem — trybunał po godzinnej naradzie ogłosił o godzinie 9 wieczorem wyrok uwalniający wszystkich trzech obwinionych od wszelkiej odpowiedzialności.

Zniesienie poczty osobowej. Pocztowe jazdy osobowe, które obiegały corocznie w porze kąpielowej między Starym Sączem a Szczawnicą, nie będą odtąd wskutek zarządzenia ministerstwa handlu uznane, albowiem publiczność nie używała tych jazd do podróży.

Nekrologja. Piotr Giermek, majster murarski, przeżywszy lat 42, zmarł w Krakowie dnia 16 b. m.

Nekrologja. Marja z Węgrzyńskich Balicka, przeżywszy lat 42, zmarła w Krakowie dnia 19 b. m.

Rada państwa w Wiedniu.

Sobotnie Posiedzenie Izby.

WIEDEŃ 21 maja. Sobotnie posiedzenie Izby było w całości wypełnione czytaniem interpelacyj i wniosków. Odczytywanym interpelacjom i wnioskom nie przysłuchuje się nikt zgoła. Kilku Młodoczechów nie było obecnych na sobotniem posiedzeniu. Nadzieja Niemców, że skutkiem tego Czesi nie będą mogli czynić obstrukcji, bo zabraknie im odpowiedniej liczby głosów do zażądania imiennych głosowań, spełzła na niczem, ponieważ do obstrukcji przyłączyli się Słowianie południowi, z Klaiczem i ks. Bianchinim na czele.

W pierwszych dwóch imiennych głosowaniach odrzucono wniosek o wydrukowanie petycji, przedstawiony jeszcze na poprzedniem posiedzeniu przez dep. Doleżala 108-miu, względnie 104-ma głosami przeciwko jednemu głosowi.

Następnie poseł Horzica popierał petycję gminy Lhotka o upaństwowienie czeskiego realnego gimnazjum w Morawskiej Ostrawie. Horzica przemawia po czesku. Dep. Kaiser woła: „Co on gada! On ma tylko prawo wniosek postawić!" Dep. Horzica woła: „Choćno pan tu bliżej, kolego Kaiser, ja panu to powiem po niemiecku... Co się tyczy szkół na Morawach panują wstrętne stosunki, niemiecka większość morawskiego Sejmu straciła rozum... (Tumult. Okrzyki: „Wolno tylko stawiać formalny wniosek.") Dep. Horzica mówi dalej: „Państwo jednak nie może tracić rozumu." Dalej mowca znów mówi po czesku.

Śmiechy na ławach czeskich. Na lewicy wrzaski: „Dlaczego prezydent nie odbiera mu głosu??"

Dep. Horzica kończy wreszcie po niemiecku: „Izba powinna być ostoją prawa i sprawiedliwości. (Wrzaski). Dlatego pozwalam sobie postawić wniosek (Żywa wesołość), aby petycja w całej pełni wydrukowana była w stenograficznym protokole. Wnoszę, aby nad tem na tajnem posiedzeniu głosować, aby nad tym wnioskiem było imienne głosowanie, a na wypadek odrzucenia, aby było imienne głosowanie nad merytoryczną stroną wniosku".

Dep. Pfersche oświadcza, że wniosek Horzicy sprzeciwia się regulaminowi. Odbycie tajnego posiedzenia może być zażądane tylko przez 10 członków. Izba nad tem nie może głosować, ale takiemu żądaniu prezydent zadość uczynić.

Prezydent oświadcza, że dep. Pfersche ma słuszność. Dep. Horzica tymczasem zmodyfikował swój wniosek, że żąda tylko tajnego głosowania.

Po imiennem głosowaniu oświadcza prezydent: Przeciw wnioskowi dep. Horzicy głosowało 97 panów, za tym wnioskiem 1 pan. Potrzebnej do kompletu liczby stu głosów nie było. Zatem uchwała nie przyszła do skutku. Ze względu na §. 48 lit. B. regulaminu, ogłaszam więc posiedzenie z powodu braku kompletu za zamknięte. Dzień i porządek przyszłego posiedzenia podane zostaną w drodze pisemnej.

Koniec posiedzenia o 1/4 6 wieczorem. Koło polskie jest skonfundowane, ponieważ wobec tego, że Fuchs pod grozą niepokojów ze strony czeskiej zdecydował się normalnie stosować regulamin, nie mogło przyjść do skutku wieczorne posiedzenie, na które odbycie Koło polskie bardzo nalegało.

Z delegacyj wspólnych.

BUDAPESZT 21 maja. (Tel. pryw.) W sobotę o godzinie 11 rozpoczęła swe obrady węgierska komisja dla spraw zagranicznych pod przewodnictwem Kolomana Tiszy. Obecnymi byli hr. Gołuchowski, v. Kallay, Krieghammer, admirał Spaun, Szecheny, Doczi, Szell i węgierscy ministrowie Feyervary, Lukacs i Szecheny.

Referent dr Falk wyraża radość z powodu zacieśnienia węzłów trójprzymierza z okazji podróży cesarza do Berlina, jakoteż z powodu sympatyj, jakiemi wszędzie cieszy się król węgierski. Referent podnosi z uznaniem mowę cesarza do delegacji, w której nie było wzmianki pojedynczo o Niemczech i o Włochach, lecz tylko ogólnie o sprzymierzeńcach.

Temsamem usunięty został zarzut, jakoby Włochy odgrywały w trójprzymierzu podrzędną rolę i zaznaczono wyraźnie, że wszystkie czynniki trójprzymierza są równowartościowe i równouprawnione. Mówiono także, że nasza monarchja zawarła osobny układ z Włochami w sprawie Albanji; jeśli to prawda, to jest to bardzo pożądany fakt, albowiem układ ten stanowić będzie szczęśliwe uzupełnienie traktatu z Rosją i stanowić będzie gwarancję, że na wschodzie utrzymanym zostanie status quo.

Wobec tego wszystkiego mowca stawia wniosek, aby kierownikowi minist. spraw zagranicznych uchwalić votum pełnego zaufania i gorącego uznania oraz uchwalić budżet ministerstwa spraw zagranicznych.

Zabiera głos Giurković, pochwalając politykę ministra Gołuchowskiego. Mowca omawia sprawy bułgarskie i rosnący wpływ Rosji, dalej niepokoje w Albanji, które niesłusznie przypis ją wpływom austro-węgierskim, albowiem Austrja nie może uprawiać polityki ekspansywnej w tym kierunku. Mowca prosi w końcu ministra Gołuchowskiego, aby odnośnie do 8 prc. cła od wartości przedmiotu, mającego być zaprowadzonem w Turcji, wystąpił w obronie interesów węgierskich.

Del. Albert Berzeviczy podnosi pewne wątpliwości co do wydatków osobistych w ministerstwie i żąda, by w rozwoju konsulatów uwzględniano także węgierskie elementy i interesy. Mowca zwraca uwagę, że ratyfikacja traktatu pokojowego w Hadze jeszcze nie nastąpiła, może dlatego tylko, aby odwlec lub uniemożebnić wszelką interwencję w wojnie południowo-afrykańskiej.

Del. hr. Albert Apponyi żąda wyjaśnień w sprawie rzekomej ugody między Rosją a Bułgarją, stojącej w sprzeczności z traktatem austro-rosyjskim, a zwłaszcza z artykułem tegoż traktatu, jako żadne mocarstwo nie może sobie rościć żadnych praw do protektoratu nad państwami bałkańskiemi. Mowca pragnie przyjaznych i ścisłych stosunków z Rosją, prosi jednak o wyjaśnienie tej kwestji. Co do hagskiej konferencji podnosi zarzut, dlaczego państwa, które nie brały udziału w konferencji, a jednak chcą solidaryzować się z rezolucjami konferencji, muszą czekać dopiero na jednomyślną uchwałę wszystkich mocarstw w sprawie przypuszczenia ich do pokojowego związku.

Przemawiają jeszcze del. Pap i Mahay, poczem zabiera głos minister hr. Gołuchowski, dziękując za słowa uznania, wypowiedziane przez poprzednich mowców.

Minister zaznacza, że między Austrją a Włochami nie ma dyplomatycznego układu w kwestji albańskiej, że jednak wszystkie mocarstwa zgadzają się na zasadę, aby zmiana status quo w kwestjach bałkańskich nie mogła być przeprowadzoną bez zgody wszystkich interesowanych mocarstw. Co do Bułgarji, to całą sprawę rozmazuje się w niesłychany sposób. Rząd bułgarski prosił poprostu Rosję o jakiego wybitnego znawcę finansowości, któryby zbadał stosunki bułgarskie i poczynił odnośne wnioski; do tego faktu nawiązano niezliczoną moc kombinacyj. Rząd rosyjski nie myśli o żadnych finansowych operacjach, tylko przychyla się do życzeń Bułgarji. Podróż Paprikowa do Petersburga miała na celu zbadanie instytucyj wojskowych w Rosji.

O Albanji więcej pisano i opowiadano niż odpowiada rzeczywistości. Obecnie w Alba ji panuje względny spokój. Co do 11 prc. cła od wartości przedmiotu, jakie chciała zaprowadzić Turcja, to sprawa jest zakończona. Mocarstwa jednozgodnie zaprotestowały i Turcja zamiar swój cofnęła.

Do Zachodniej Ameryki wysłano okręt „Donau", aby zbadać, czy nie należy tamże ustanowić więcej konsulatów austro-węgierskich. Emigrację do Ameryki ministerstwo ma ciągle na oku i każe sobie przedkładać w tej mierze oficjalne sprawozdania.

Artykuły, przyjęte na konferencji hagskiej, będą w krótkim czasie ratyfikowane i międzynarodowy sąd rozjemczy będzie wnet ustanowiony. Austro Węgry nie będą się sprzeciwiać ogłoszeniu traktatów hagskich za jawne i przystępne dla wszystkich państw.

Przemawia jeszcze szef sekcji Szecheny, odpowiadając na wątpliwości Papa, poczem komisja przyjmuje wniosek referenta, aby uchwalić wotum zaufania i gorącego uznania hr. Gołuchowskiemu, nad budżetem zaś wywiązuje się szczegółowa dyskusja.

W końcu prezydent dziękuje Gołuchowskiemu za dokładne i wyczerpujące wyjaśnienia i posiedzenie zamyka.

Posiedzenie austrjackiej delegacji odbędzie się w piątek, dnia 25 b. m., o godzinie 4 popołudniu. Na porządku dziennym: sprawozdanie komisji budżetowej o przedłożeniu ministerstwa spraw zagranicznych.

Wojna w Południowej Afryce.

LONDYN 21 maja. (T. B. K.) Biuro Laffana donosi z 17 b. m. z Malopo: Wielkiemu oddzia-

łowi angielskiemu udało się wczoraj wtargnąć od południa do Mafekingu. Oblężenie zostało zaniechane przez Boerów, którzy cofają się ku wschodowi.

Do „Central News" donosi korespondent: Zbliżyliśmy się do miasta od południa i zostaliśmy zaatakowani przez znaczny oddział boerski. Atak został odparty, posunęliśmy się naprzód, a Boerowie nie czekając dłużej, cofnęli się pospiesznie. Ścigaliśmy Boerów, którzy wywalczyli sobie jednak odwrót. Straty nasze są nieznaczne. Kolumna dążąca z odsieczą składała się z 2000 południowo-afrykańskich lekkich jeźdźców, imperial yeomanr'ów, konnicy kimberleyskiej z 35 wozami, czterema działami polnemi i 2 armatami Maxima.

Wyruszyła ona 4 maja z Kimberley i wzdłuż kolei posuwała się aż do Kraalpan, gdzie Boerowie cofnęli się przed atakiem.

Z Pretorji donosi Biuro Reutera, że kolumna, z odsieczą dążąca, weszła we środę w nocy do Mafekingu.

Według dalszych wiadomości, jenerał Delarey walczył cały dzień z pomyślnym skutkiem przeciw nadchodzącej kolumnie, dopiero w nocy jeden z oficerów, nie otrzymawszy żadnego rozkazu od Delareya, cofnął się i otworzył kolumnie drogę do Mafekingu.

Biuro Reutera donosi dalsze szczegóły z Kapstadu z 19 b. m.: Kolumna oswobadzająca wyruszyła w cichości w Kimberleyu i przez okręgi Taungs i Vryburg posunęła się do 11 maja na odległość 20 mil ang. od Mafekingu. Z początku składał się oddział z 1500 jezdnych i z trzech dział Maxima, w Barkly-West zostawiono jednak jeden oddział z powodu złego stanu koni. Kolumna robiła po 20 mil angielskich dziennie.

Wiadomość a oswobodzeniu Mafekingu wywołała w Londynie nieopisany entuzjazm. Takiego entuzjazmu nie widziano nigdy od czasu zajęcia Paryża przez Niemców. Olbrzymie tłumy tłoczą się po ulicach, wznosząc okrzyki, wszelki ruch konny i tr mwajowy ustał. Lord Mayor telefonował, że nie może być na „Te Deum" w kościele św. Pawła, albowiem nieprzebity tłum otacza Mausion Hause.

Cały Londyn wygląda jak las z chorągiewek, każdy człowiek, każdy wóz, każda lokomotywa ozdobiona jest wstęgami czerwono-biało-niebieskiemi. Całe miasto iluminuje. Olbrzymia łuna unosi się nad miastem, bicie dzwonów rozlega się w całej Anglji. Mimo, że policja nie była przygotowana na tak gwałtowny wybuch entuzjazmu, wszędzie panuje porządek.

Z Maseru donoszą, że dywizja Rundle'a i wojska kolonialne obozują pod Clocoval. Krążą pogłoski, że wielkie oddziały boerskie, zdążające ku Bethleem zawróciły z drogi i zamierzają stawić opór kolumnie Rundle'a.

WASZYNGTON 21 maja. (Tel. B. Kor.) Nieprzerwany szereg wizytatorów odwiedził w sobotę delegację boerską w hotelu. Oficjalnych przyjęć nie było. Delegacja spodziewa się, że dzisiaj zyska audjencję u Mac Kinleya.

Fischer wyraził przekonanie, że pisma uwierzytelniające delegacji wystarczą, aby za pośrednictwem przyjaznego rządu amerykańskiego, położyć kres rozlewowi krwi. Delegacja nie przychodzi z żadnym gotowym planem pokojowym; spodziewa się jednak, że zaszczytny pokój jest możliwy. Stany Zjednoczone są jedynem państwem, których stanowisko umożliwia zaprowadzenie pokoju.

LONDYN 21 maja. (Tel. pryw.) Jen. Buller telegrafuje z Newcastle pod datą 19 b. m.: „Jen. Clery odmaszerował w kierunku Ingogo, a jen. Dundonald do Laingsnek. Straż tylną nieprzyjaciela już prawie dopędzono. Kilku Boerów wzięto do niewoli i zdobyto pewną liczbę wozów. Wojsko trzyma się bardzo dobrze. 10 maja opuściłem Ladysmith i dotychczas zrobiłem 138 mil drogi.

STANISŁAWÓW 21 maja. (Tel. pryw.) Wczoraj aresztowano tu ajenta asenterunkowego Lieblicha na doniesienie zegarmistrza Schächtera, którego syna z wojska miał uwolnić. Schächter chciał wymusić na Lieblichu oddanie wziętych za to pieniędzy, a gdy się nie udało, zadenuncjował go.

WIEDEŃ 21 maja. (T. B. K.). Matka ministra Rezeka, Katarzyna Rezek, zmarła w niedzielę, w Neuhaus, w Czechach, w 75 roku życia, po długich i dolegliwych cierpieniach.

Rozkład jazdy na kolejach państwowych

Z Krakowa odchodzą:

1) W stronę Lwowa i Podwołoczysk:

1) Pospieszny 6·31 rano; 2) Osobowy 8·10 rano; 3) Osobowy 11·00 rano; 4) Pospieszny 2·49 po poł.; 5) Osobowy 6·15 wieczorem (tylko do Tarnowa); 6) Pospieszny 8·48 wieczorem; 7) Osobowy 9·15 wieczorem; 8) Osobowy 10·50 wieczorem.

2) W stronę Skawiny przez Podgórze-Płaszów:

1) Osobowy 10·20 rano (tylko od 1 czerwca do 30 września); 2) Osobowy 5·25 po południu; 3) Osobowy 10·20 wieczorem.

3) Z Podgórza-Płaszowa do Oświęcimia:

1) Osobowy 3·21 po południu; 2) Osobowy 5·35 wieczorem; 3) Osobowy 9·10 rano (tylko do Skawiny); 4) Osobowy 7·50 wieczór (tylko do Skawiny).

4) W stronę Suchej, Chabówki, N. Sącza, N. Zagórza, Husiatyna:

1) Osobowy 10·20 wieczorem (tylko do Skawiec); 2) Osobowy 10·20 rano (tylko do Chabówki od 1 czerwca do 30 września); 3) Osobowy 5·25 po poł. (tylko do Chabówki); 4) Osobowy 5·15 wieczór (tylko do Skawiny); 5) Osobowy 8·55 rano; 6) Osobowy 3·00 po poł. (tylko do Skawiny); 7) Osobowy 7·33 wieczorem.

5) W stronę Wieliczki:

1) Osobowy 8·10 rano; 2) Mięszany 1·25 popoł.; 3) Mięszany 9·30 wieczorem.

6) W stronę Nowego Sącza, Muszyny przez Tarnów-Stróże:

1) Pospieszny 6·31 rano; 2) Osobowy 11·00 rano; 3) Pospieszny 2·45 popoł. (tylko do Stróż); 4) Osobowy 6·15 wieczorem (tylko do N. Sącza); 5) Osobowy 10·50 wieczorem.

7) W stronę Zakopanego:

1) Osobowy 10·20 przed poł.; 2) Osobowy 5·25 popołudniu.

8) W stronę Kocmyrzowa:

1) Osobowy 8·30 rano; 2) Osobowy 1·50 popoł.; 3) Osobowy 8·00 wieczorem.

MAGAZYN

JÓZEFA RUDNICKIEGO

(dawniej C. Wieczorek)

w Krakowie, Rynek główny w Hotelu Drezdeńskim

w roku 1869 założony

po gruntownem przerobieniu, w poniżej wyszczególnione towary starannie zaopatrzony został.

I. Rękawiczki wszelkiego rodzaju i gatunku.
II. Artykuły do podróży i wyroby skórzane.
III. Bieliznę męzką szyrtingową i trykotową.
IV. Towary odnoszące się do wszelkiego Sportu.

a) Dobroć moich rękawiczek, jakoteż elegancki krój mają już ustaloną renomę. — Dział ten jest zawsze **fachowo i ze szczególną troskliwością prowadzony.**

b) Kufry duże drewniane, albo trzcinowe, od prostych na kilka guldenów do wykwintnych kosztownych, są zawsze w wielkim wyborze na składzie. Kuferki mniejsze płócienne i skórzane, Torby próżne, Torby z necesserami, worki, płótna z rzemykami, Pularesy, Portmonety, irchowe woreczki na piersi. — **Wszystkie te towary taniej niż w Wiedniu, Berlinie, Paryżu.**

c) Skład bielizny męzkiej znacznie powiększyłem, są więc zawsze na składzie pojedynczo i tuzinami, koszule białe codzienne, kolorowe, frakowe z kołnierzami i bez kołnierzy. — **Modele paryzkie, materyał najlepszy.**

d) Wszelkie przybory do Lavn Tennisu, buciki, paski, flanele, czapki, switery, rakiety, piłki t. d. Płaszcze impregnowane damskie i męzkie, Peleryny. Modele angielskie, **Pledy, derki do powozów w wielkim wyborze.**

Koszule białe męzkie, przody gładkie sztywne lub miękkie bez kołn. i bez mankietów, sztuka 2 złr., tuzin 21 złr., takiesame z Szudowskiego schirtingu R. z mankietami, przody w zakładki miekkie, sztuka złr. 2·50, tuzin złr. 27, z pikowemi francuskiemi przodami, sztuka złr. 2·75, tuzin złr .30.

Koszule kolorowe z zefiru francuskiego z mankietami, sztuka złr. 2·75, tuzin złr. 30.

Kołnierzyki w 15-tu najnowszych fasonach, tuzin złr. 2·40.

Mankiety poczwórne do spinek łańcuszkowych, tuzin złr. 3·50 i 4 złr.

Karpetki czarne i kolorowe fil de pero, tuzin złr. 4·50.

Skarpetki czysto niciane, tuzin złr. 10, 12 i 15.
dtto jedwabne, czarne, tuzin złr. 30 do 60.

Chustki kieszonkowe z kolorowemi modnemi brzegami, tuz n złr. 4.

Chustki prawdziwe batystowe, tuzin złr. 8, 10 do 16.

Trykoty w najrozmaitszych kolorach cienkie, para złr. 2·50 do 4.

Trykoty czarne damskie do konnej jazdy para złr. 3·50 do 10.

Kamizelki pikowe białe, w paski i kolorowe sztuka złr. 3·50 do 5.

Paski najrozmaitsze sztuka złr. 1 do 5.

Płaszcze impregnowane »Coruscus« sztuka złr. 35, 40 i 45.

Płaszcze gumowe męskie sztuka złr. 20, lepsze złr. 30 do 40.

Peleryny dla Dam z jedwabnym kapiszonem sztuka złr. 25.

Peleryny dla cyklistów i turystów od złr. 5 do 20.

Buciki angielskie skórzane białe i żółte do Lavn Tennisu para złr. 3·50, 4·50, 6, 8 i 12.

Czapki wagonowe, dla cyklistów, pokojowe do polowania i t. d. stosowuie do gatunku od 60 centów do złr. 2·50.



Kathreiner
jest prawdziwym tylko w znanych
paczkach Kathreiner!
Nigdy więc nie jest otwarty lub w innych, na okpienie obliczonych, podrobionych paczkach.
Kathreinera Kneippowska kawa słodowa
jest najsmaczniejszym, jakoteż jedynym zdrowym i zarazem najtańszym dodatkiem do kawy zwyczajnej.
Kathreinera Kneippowską kawę słodową
piją co dzień z ulubieniem i z wzrastającym skutkiem tysiące rodzin.
Kathreinera Kneippowska kawa słodowa
tam, gdzie kawa zwyczajna jako zdrowiu szkodliwa jest przez lekarzy zakazana, zastępuje też najwspanialej.
KATHREINER

62

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Ehrenberg. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.